BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

—*—

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . . (52 tomy) rs.	10	Rocznie . . (52 tomy) rs.	12
Półrocznie (26 tomów) „	5	Półrocznie (26 tomów) „	6
Kwartalnie (13 tomów) „	2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów) „	3

Za odnoszenie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . .	**rs.**	**6**	**kop. —**
Półrocznie. (za 26 tomów). . .	**„**	**3**	**„ —**
Kwartalnie (za 13 tomów). . .	**„**	**1**	**„ 50**

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

Główni współpracownicy:

Teodor Jeske-Choiński

Dr. Julian Ochorowicz,

Julian Adolf Święcicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 156.

Patryoci z zakątka

POWIEŚĆ CZESKA

Karola Rais'a

w przekładzie

J. Kietlińskiej-Rudzkiej.

TOM III.

Karel Rais

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya

47. Nowy-Świat 47.

1900.

II 18 N24

PATRYOCI Z ZAKĄTKA.

Karol Rais.

PATRYOCI Z ZAKĄTKA

(Západli vlastenci)

POWIEŚĆ
CZESKA

W PRZEKŁADZIE

J. Kietlińskiej - Rudzkiej.

Tom III.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
A. T. Jezierskiego
47. Nowy-Świat 47.

24

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Октября 1900 г.

120153

XII.

Adam Hejn wychodził z plebanii cały rozgorączkowany: oczy mu błyszczały, policzki pokryły się żywym rumieńcem; wąsy tak silnie podkręcał, jakby je chciał wyrwać zupełnie.

Nie dziw jednak! Wracał po rozmowie z proboszczem, który go pytał:

— Cóż więc ty, bohaterze z Wisły, zadeklamujesz nam na „besedzie"?

— Jaką pieśń rycerską, wielebny panie—odpowiedział, marszcząc czoło i pokręcając wąsa, niby rycerz Jan Bielohradsky [1]), którego przed laty przedstawiano w Wietroniu.

— Coś rycerskiego? a ja sądziłem, że nam wypowiesz „Wieśniaka przy bilardzie," albo „Małpeczkę młynarza" [2]) dla rozśmieszenia naszych staruszków — odparł kapłan.

— Jedno i drugie można, czemużby nie?

— To dobrze; wyszukamy z Franciszkiem coś rycerskiego, tylko, że to nie łatwo zadeklamować pięknie utwór patryotyczny.

— Postaram się, postaram.

Niósł dzisiaj „Wieśniaka przy bilardzie" i inne

---

[1]) Jan hr. Bielohradsky z 1812 r., dramat Sikory.

[2]) Poezye humorystyczne dramaturga Klicpevy.

utwory rycerskie. Idąc przez wieś, kroczył, jako rycerz na scenie. Ujął się pod bok, głowę hardo trzymał, oczy złowrogo przymrużał.

Przyszedłszy do chaty, drzwi z łoskotem otworzył, czapkę niedbale rzucił na łóżko, książkę na stół, odgarnął włosy z czoła i głęboko odetchnął.

Żona jego, Bara, siedziała pod oknem i reperowała bieliznę; najmłodszy synek, Borzywój, bawił się z małym kotkiem; uczeń, Michał Marynek, siedział koło okna, na podwórze wychodzącego, na trójnożku i trzymając but między kolanami, wbijał do obcasa gwoździe z ogromnemi głowami.

Majster zatrzymał się przy stole i wpatrywał się w zabrudzone lusterko, wiszące na ścianie między obrazami Świętych. Głowę trzymał wciąż prosto, czoło przecinały dwie głębokie zmarszczki. Przeszedł następnie wielkiemi krokami izbę dwukrotnie i zawołał ostro:

— Borzywoju, wynoś się z tym kotem!

— Waryujesz—odezwała się żona.

Michał spojrzał ukradkiem na majstra i majstrową.

— Już mi to dał nasz proboszcz—zawołał Adam patetycznie i książkę otworzył.

— Tego nam tylko brakowało w chałupie; jeszcze mało komedyj?—wykrzykiwała żona, nie podnosząc oczu od roboty.

— Przecież to się opłaci, dobrze będzie zarobić cośkolwiek na wiosnę.

Michał zerknął znów na majstra, zaśmiał się zcicha i wbijał gwoździe.

...Błyszczy się Kaunicka sala,
Drżą portretów ramy.
Nadeszła upragniona chwila,
Zeszli się tutaj rycerze i damy.

Adam trzymał książkę w prawej ręce, lewą podniósł w górę, a wielkim palcem jakby wskazywał sła-

wne Kaunice [1]) i deklamował z ogromnem przejęciem. Mały Borzywój przycichł ze swym kotkiem, Michał przestał wybijać młotkiem, a żona chichotała pocichu.

Adam nie zwracał uwagi na to, co się wokoło niego działo, i mówił dalej:

...Niemcom naprzekór bratali się przodkowie nasi,
Dawni wrogowie książęta na zgodę wznieśli puhary.

Na wyraz puhar położył silny akcent.

— Mamusiu, co ojciec mówi? czy to nowa komedya?—pytał się mały synek, na ziemi siedzący.

— A czyż ja wiem, jakie go znów szaleństwo napadło—mruczała gniewnie.

Adam spojrzał na żonę, targnął wąsy, lecz nic jej nie odpowiedział, tylko dalej deklamował.

...Konrad Fryderyka za rękę uścisnął,
Jako przyjaciela i brata.
Czechy z Morawią, po dawnych kłótniach,
W zupełnej zgodzie znów żyją...

Chłopaczek przyczołgał się do stołu i uparcie wpatrywał się w ojca, który spracowaną od dratwy, poczerwieniałą ręką, wymachiwał w przestrzeni i ostatni wiersz mówił cicho, lecz z uczuciem.

— Co tatuś mówi?

— Marsz!—krzyknął majster.

— Odpędzaj chłopca, odpędzaj, a za chwilę będziesz chciał, żeby ci wszedł na kolana.

— Cicho siedź i patrz swojej roboty!

— Mam milczeć, kiedy to święta prawda, ciągle jakieś błazeństwa do naszego domu wprowadzasz.

— Błazeństwa? Alboż ty się znasz na tem, co to jest ojczyzna, patryota?

---

[1]) Na zamku Wilhelma Kaunickiego obchodzono zawarcie przymierza Fryderyka Czeskiego z Konradem Morawskim.

— Komu to o tem rozprawiać, już chyba nie tobie, zasmolony szewcze!—serdecznie się roześmiała Hejnowa, a Michał za nią.

Mistrz odwrócił się w stronę trójnożka, ręką sięgnął do wąsa, uczeń zaś uderzył pospiesznie młotkiem, jakby się lękał i chwili utracić.

Hejn położył książkę, zdjął surdut i kamizelkę, fartuch zapasał i usiadł przy warsztacie.

— A, przecież nabrałeś trochę rozumu—pochwaliła go żona.

— Przestańże nareszcie z tym rozumem—mruknął.

— Dałbyś pokój, błaźnie; myślisz, że Bóg wie co robisz, a tymczasem wyśmiewają się z ciebie tylko. Przez całą zimę urządzasz komedyę, teraz znów drugą zaczynasz.

W chacie Hejna doznawali wieśniacy wiele przyjemności. Nieboszczyk ojciec Adamą przyszedł raz do swego brata do Pragi, przy końcu zeszłego wieku, i widział tam w teatrze sztukę Tamy „Brzetysław i Istka." Wyszedł z przedstawienia oczarowany, nie mógł do śmierci zapomnieć ówczesnych wrażeń, wiecznie o tym wieczorze opowiadał. Wróciwszy więc z Pragi, zabrał się do pracy bardzo mozolnej: marnym kozikiem wystrugał z drzewa kilkanaście lalek, następnie uszył dla nich ubranie. Z deszczułek zbił scenę, a z pomocą stolarza ozdobił ją nieco. W ten sposób w chacie Hejna rozpoczęły się przedstawienia teatralne, z lalek złożone, które syn po ojcu prowadził. Według ogólnego dowodzenia, uczeń przeszedł mistrza; i nic dziwnego—Adam wiele czytywał. Kiedy w szkole Pozdietyńskiej został kantorem Czyżek, a proboszczem ks. Stehlik, nie miał już biedy z wypożyczaniem książek. Nie był egoistą i każdą nabytą wiadomością dzielił się z drugimi. Na przedstawienie schodziły się dzieci, później ktoś ze starszych zajrzał, wreszcie stałymi widzami bywały dzieci i ich

rodzice. Na scenie Adama występowali rycerze, jak żywi, rozbójnicy tak się srogo przedstawiali, że wszyscy drżeli ze strachu, kiedy zaś księżniczki wzdychać zaczęły, obecni zaledwie się mogli wstrzymać od płaczu. Najbardziej jednak ulubionymi bohaterami byli występujący wieśniacy Szkrhola i Sztendera, gotowi bić się na rapiry nawet w obecności samego króla. Wspaniale Hejn wystawiał: „Genowefę," „Meluzynę," „Józefa," „Czarodziejską cyfrę," „Księcia Honzika," największem zaś powodzeniem cieszył się „Brunswik"[1]), czyli „Wszyscy bez głów."

Wtedy chałupa trzęsła się od oklasków, hałasu, chłopcy pluli sobie w kułaki, a skoro tylko wyszli z izby, podnosili straszny krzyk.

Skoro w Wietrowie przedstawiali amatorowie jakąś nową sztukę, Adam i jednej nie opuścił i zaraz na swoją scenę wprowadzał ku uciesze rodaków z Pozdietyna. Zagrał im „Rudolfa z Felzeku," „Brzetysława," „Blanika," „Czarownicę Sydonię," „Wesołego szewca" i „Jana Dolińskiego"[2]). Proboszcz i kantor pomagali mu w wyborze sztuk patryotycznych i sami uczęszczali na widowisko.

Adam urządzał swe przedstawienia bezinteresownie, hojniejsze jednak gospodynie przynosiły mąkę, owoce, bochenki chleba za fatygę Hejnowej, która po każdem widowisku dobrze musiała się namęczyć, nim zadeptaną podłogę do porządku doprowadziła. Adam jedno miał gorące pragnienie, jedno marzenie niezi-szczone, oto: dać w Pozdietynie przedstawienie z żywych ludzi.

„Beseda" była pierwszym krokiem do urzeczywistnienia tego. Proboszcz i kantor przyrzekli mu, że

---

[1]) Sztuki te napisane były przy końcu XVIII w. przez Majobera, Zeberera i Szedlwa.

[2]) Utwory Sztepanka, Klincpera z XIX w. Przerobione, jak i poprzednie, dla teatru maryonetek.

jeśli uda się „beseda," pomogą w przeprowadzeniu całego projektu.

Dawni rycerze ożyliby tedy.

Majster położył książkę na stołku i usiadłszy na trójnożku zabrał się do roboty butów. Wyciągając szydło i szyjąc dratwą, mruczał.

— Słuchaj Adamie, ty zepsujesz ten but, jakaż to może być robota, podczas której mówisz kazanie.

— Nie przeszkadzaj mi—odburknął i znów zaczął powtarzać.

Borzywój, przywyknąwszy do mruczenia ojca, zaczął się znów bawić z kotem. Przywiązywał mu do ogona kawałki starej podeszwy, a ilekroć kot miauknął z bólu, Adam poruszał się niecierpliwie na stołku, jakgdyby siedział na szpilkach.

— Kain z Ablem nie nadokuczali tyle Adamowi, ile ty mnie, smarkaczu — krzyknął, powstawszy z gniewem i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie grzesz ino—przerwała żona.

— Tak! przecież mam w domu istne piekło.

— To idź szukać sobie raju!

— Powinienbym wówczas utopić się rzeczywiście w tej Wiśle.

— Naturalnie powinieneś był, już ci to nieraz mówiłam.

Nic już nie odpowiedział, pochwycił tylko książkę i wdrapał się na strych. Za chwilę słychać było jego kroki i głośną deklamacyę.

— Pan majster wszystkie myszy wypłoszy — zauważył Michał złośliwie.

W południe trzy razy Barbara wołała swego męża na obiad, zjawił się dopiero wtedy, gdy poszedł po niego najmłodszy chłopak. Stanął we drzwiach wyprostowany, ręce za fartuch włożył i deklamował.

„Błyszczy się Kaunicka sala...

Przy następnym wierszu zająknął się i ani rusz dalej. Skrobał się po głowie, wąsy targał, lecz nic

to nie pomogło, nie mógł sobie ani słowa przypomnieć.

— Jezus Marya!—zawołał rozpaczliwie—ja już pamięć tracę!

— Czyż potrzebujesz dziś koniecznie tego się wyuczyć, przecież masz jeszcze kilka tygodni. Ot, lepiej zabierz się do obierania i jedzenia kartofli — już spokojniej tłómaczyła mu żona.

Zasiadł do stołu, pomodlił się z dziećmi, był jednak wciąż zamyślony, wreszcie zaczął znów mruczeć pod nosem. Troje najmłodszych dzieci nie zwracało nań uwagi, dwoje starszych nie spuszczało z niego wzroku.

Trzeciego dnia poszedł Adam na plebanię dla powtórzenia: „Zbiór czeskich wojowników" (Tyl ułożył słowa—muzykę Prochazka). Zaledwie w drzwiach stanął, mówił:

— Dobry wieczór, już umiem całą deklamacyę.

— Brawo, brawo Adamie, zaczynaj więc—wołał uradowany proboszcz.

Adam przybrał postawę wszystkich bohaterów ze sceny maryonetek (z każdego wziął najcharakterystyczniejszy szczegół) i recytował:

„Konrad Fryderyka za rękę uścisnął...

Mówił tak głośno, jak grzmot.

— Dobrze, Adamie, dobrze—zachwalał proboszcz, kantor zaś z preceptorem uśmiechali się pobłażliwie.

Pepiczka z Albiną i Dolejsz, słysząc krzyk w pokoju, a nie znając jego przyczyny, wbiegły do pokoju, Dolejsz stał we drzwiach.

Adam nie widział, nie słyszał tego wszystkiego i dalej z przejęciem deklamował:

...Po skończonej biesiadzie
Goście przysięgę złożyli,
Walczyć za ojczyznę do ostatniej życia chwili.

— Brawo, Adamie, brawo! — wołał proboszcz. nauczyciele bili oklaski.

Adam był w niemym zachwycie, podkręcał wąsa i uśmiechał się radośnie.

— Jeszcze tylko te subtelniejsze ustępy musisz z większem czuciem, cieplej mówić, reszta zupełnie dobrze.

— Adam, to stary aktor—wtrąciła Pepiczka.— A toż się pewnie wasza żona cieszy, gdy jej tak deklamujecie.

Adam zmarszczył czoło i milczał.

— Ten nasz Hejn taki dobry człek, a tak strasznie wygląda —pomrukiwał kościelny.—Nasi ojcowie ucieszą się, ucieszą, byleby się tylko nie przelękli.

Najchętniej na te próby schodzili się Albina z pomocnikiem, była wtedy bowiem sposobność uścisnąć się za rękę, spojrzeć w oczy głęboko i poszeptać trochę.

Wszystkie kąciki w sieni, kuchni, były niemymi świadkami pocałunków tej zakochanej pary, ale najwięcej widział ich cmentarz i ogródek. Rozchodzili się zwykle przy gwiazdach, rankiem znów spotykali się w kościele. Albinka nie śpiewała z takiem życiem, jak dawniej; pomocnik wyrzucał jej to zawsze i dowodził, że przy jej śpiewie gra mu się znacznie lepiej. Traciła ona w kościele chęć do śpiewu — w ławce pod chórem siadywała teraz Żalakowa...

— Przychodzi tylko dla pana — czyniła mu co wieczór wymówki bolesne.

— Co też wygadujesz, czemużby dla mnie?

— Proszę mi wierzyć, jestem najmocniej przekonana.

— A choćby i tak rzeczywiście było, to i cóż to nas może obchodzić?

— Gniewa mnie to i niepokoi, dlaczego na pana zwraca uwagę, czemu nie myśli o swym nieboszczyku!

— Ależ mnie nie wyróżnia.

— Wyróżnia, wiem dobrze. Czyś pan już zapomniał o Wietrowie? To był początek.

Czermak, mimo swego zaprzeczania, czuł, że dla niego jedynie młynarka bywa w kościele. Uciekał zawsze z chóru, nie chcąc się z nią spotkać, jeśli się mijali na cmentarzu, kłaniał się i pospiesznie odchodził, a jednak widział spojrzenie ciemnych, głębokich jej oczu.

W połowie kwietnia zmarła żona kalikanta Lusztinca.

Na pogrzebie Żalakowa stała tak blizko preceptora, że przy każdem podniesieniu oczu musiał podziwiać jej twarz o smagłej, jakby aksamitnej cerze, pałającą wprost ogniem. Nie uszło to uwagi Albiny. Wieczorem czyniła ukochanemu srogie wyrzuty, Czermak nie mógł jej uspokoić.

— Przestań, przestań! Umyślnie tam się umieściła, abyś ją mógł dobrze obserwować, a ona ciebie — zawodziła dziewczyna, ledwie łzy powstrzymując.

— Albino, czyż jam temu winien? wszak się jej nawet nie przypatrywałem.

— Przypatrywałeś, przypatrywałeś! Dla przypodobania się tobie ubiera się jak księżna...

Pomocnik wybuchnął śmiechem.

— Śmiej się, sam pan mówiłeś, że to straszny dziwak. Mnie się również przyglądała, omało mnie oczami nie pożarła.

— Powiedz zatem, co ja mam robić, abyś była zadowolona, spokojna?

— Mnie się pan pytasz? Jeśli mnie kochasz, sam to powinieneś wiedzieć!

— Kocham cię, najdroższa, kocham i wszystko, co chcesz, zrobię.

Przycisnął ją do piersi gorąco.

Następnego dnia przy wyjściu z kościoła przez

drzwi główne spotkał się z Żalakową. Stanęła tuż przy nim, obrzucając go wejrzeniem ognistem, ani było można uciec.

— Jakże się miewa pan Czermak?—pytała serdecznie.—Zawsze pan ucieka, jakby się mnie bał, cóżem ja panu zrobiła?

— Nic, ale muszę do szkoły śpieszyć.

— A, to z tego powodu! Ja już myślałam, że się mnie pan lęka. Tak mało ludzi znam tu i jeszcze bliżsi znajomi uciekają odemnie. Czyż mnie pan zapomniał?

Zaprzeczył ruchem głowy.

Krucze, kręcone włosy opadały jej na szyję i czoło, twarz pokryta była jakby lśniącym puszkiem, przy uśmiechu ukazywał się rząd białych zębów. Oddychała szybko.

— Czy pamiętasz pan tę chwilę, w której wzięłam cię za brodę? Już wtedy byłeś takim skromnym, miłym chłopaczkiem. Czyż mogłam przypuścić, że się tu spotkamy. Nie masz pan pojęcia nawet, ile mi to sprawiło radości.

Niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, wreszcie powiedział z determinacyą:

— Żegnam panią, muszę pospieszać do domu.

Ukłonił się i biegł szybko.

Odprowadziła go ognistem spojrzeniem.

Kiedy podczas pięknej pogody mieszkańcy Pozdietyna zabrali się do pracy na roli, szkoła była przepełniona. Ławki były zajęte przez piszących, uczniowie, zaczynający czytać, siedzieli na ziemi, koło pieca.

Pomocnik nie mógł wydążyć temperować przed lekcyą piór, liniować kajetów, musieli mu pomagać starsi chłopcy. Wielu z nich siedziało na książkach i czapkach. Franciszek Roubal zatknął kozik w ścianę i wieszał na nim swą czapeczkę. Małe dziewczątka kuliły się w kącie jedna obok drugiej,

niby ulęgałki. Ponieważ preceptor nie mógł dojść nawet do uczniów, piszących na wielkiej tablicy, wiszącej u sufitu, rozkazał, ażeby młodsze dzieci przychodziły po południu, kiedy już starsze odejdą.

Pan kantor zrył już ogródek na warzywo, zasiał nasiona kapusty i buraków. Miał on wielką pracę z pszczołami, co tydzień musiał im dawać trochę cukru. Słońce mocno już przygrzewało, ale rośliny wolno kiełkowały, a pszczoły dużo pokarmu dla swego potomstwa potrzebowały.

Kantor z ojcem Podrożkiem orali krówkami rolę pod kartofle, mak i marchew. Ziemia była tak sucha, że się rozsypywała pod bronami, tworząc tumany kurzu.

Pomocnik po lekcyach popołudniowych z kilku starszymi chłopcami pracował zwykle w ogrodzie, a często i w pole wychodził; nie miał on wielkiej siły do pracy, ale zawsze coś pomógł. Pryncypał zasadził mu trzy zagony kartofli i ćwierć siemienia lnianego.

Jak przyjemnie bywało w polu! Powietrze przepełnione było wonią świeżej trawy i zapachem palonego chwastu.

Firmament błękitny, bez najmniejszej chmurki, z lasu dochodził szum głęboki, w dolinie odzywały się śpiewy robotników. W sąsiedztwie ze „szkolnymi" ludźmi pracowali mieszkańcy plebanii. Najemnik orał, Pepiczka zaś, Dolejsz i Albina sadzili kartofle. Zachodził czasem i proboszcz; zdejmował on surdut i rozbijał grudki ziemi, albo kopał rowy dla ścieku wody. Zadowolony był, kiedy pot rosił mu czoło. Po trudzie miły bywał podwieczorek. Rozsiadali się wszyscy na miedzy, a Pepiczka z panią kantorową rozdzielała kromki chleba, masłem i twarogiem smarowane. Wracali zwykle razem; proboszcz mawiał wtedy z uśmiechem:

— No, Franciszku, zarumieniliśmy się, jak mło-

dzieńcy. Nie masz nad pracę w polu, ziemia najlepiej człowieka wzmacnia.

Jakoś na dwa tygodnie przed Zielonemi Świątkami pan kantor poszedł do Semil ze skrzypcami, Podroużek sam uprawiał rolę pod owies. Wieczorem odprowadził go preceptor do samej chałupy, stojącej pod lasem. Prześlicznie było na świecie: łąki pokryte szmaragdową zielonością, oziminy falowały spokojnie, w rowach, na brzegach strumyka przeróżne kwiatki polne rozwijały swe drobne listeczki, w tej chwili świecące kroplami rosy, niby drogiemi kamieniami...

Podroużek z pomocnikiem usiedli przed chałupą na drewnianej ławce i rozkoszowali się wiosennym wieczorem. Wokoło siebie mieli aromatyczny las sosnowy, którego stali mieszkańcy, począwszy od starego drozda, gwiżdżącego z całego gardła gdzieś na wierzchołku wyżyny, aż do najmniejszej śpiewającej ptaszyny, wszyscy śpiewali swe wieczorne pieśni. Cały ten szary bór rozbrzmiewał przeróżnemi tony. Młody i stary nie byli usposobieni do rozmowy, słuchali więc w milczeniu tego wspaniałego koncertu. Wtem zjawił się przed nimi Adam Hejn. Odnosił on buty Roubalowi i zaszedł do nich z nowiną najświeższą.

— Wiecie, co się stało? Nasz Lusztiniec powiesił się!—oznajmił Adam.

„Scholasticus" powstał, mierząc go wzrokiem.

— Mówię, że się powiesił, przy samym łóżku, na klamce. Trudno w to uwierzyć. Przywiązał stare taśmy do noszy i na nich się obwiesił.

— Co mu się stało? Boga się nie bał!—wołał przerażony Podroużek.

— Takie już było przeznaczenie. Loterya go do tego doprowadziła. Mówiłem ja zawsze, że on i duszę swą dałby za losy.

Hejn, w czapce na tył głowy zsuniętej, kręcąc wąsy, chodził nerwowo.

— W parę dni po śmierci żony, może to z tęsknoty? — dorzucił pomocnik.

— W chałupie mówiono, że dziwnym był oddawna, dziś ostatecznie coś go opętało. Ale słuchajcie. Podobno nieboszczka Lusztincowa w nocy przed samą śmiercią przebudziła się i zawołała: „Stary, śniło mi się pięć ślicznych numerów, zapisz je na stole." Kalikant odburknął: „Śpij, śpij, żebyś sobie odpoczęła." Stara jednak nie zasnęła, dopóki jej mąż nie zapisał numerów, a jeszcze dodała: „Tylko nie zapomnij wykupić ich rano." Starowina nie doczekała już rana, a on wśród zamętu z pogrzebem nie mógł zająć się loteryą. Podobno na cmentarzu stał jak na szpilkach, ale było zapóźno. Tymczasem przybiega dziś do chałupy i wprost szaleje — wszystkie bowiem te numery wygrały!

— A to kara Boża—szepnął Podroużek.

— Tak, to palec Boży, lecz zamiast, żeby to wziąć do serca, stary się obwiesił!

— Toż to była dla niego straszna boleść, okropny cios. Całe życie wszystko poświęcał tej namiętności, a teraz, gdy mógł stać się bogaczem, zapomniał o numerach!...

— Czyż go nie mogli uratować?

— Wszelkie środki były bezskuteczne: tarli go pół godziny nadarmo. Spostrzegli go dopiero wieczorem, wisiał więc pewno kilka godzin.

— Najwidoczniejsza kara Boska. Pan Bóg wyraźnie mówił: Widzisz, człeku, przez całe twe życie nie chciałem, ażebyś wygrał, teraz ci daję przestrogę, pamiętaj, że ja jestem, że wiem o tobie! — dowodził Podroużek, kiwając siwą głową.

— Człowiek, który obsługiwał świątynię, którym opiekował się proboszcz, żeby mu się tak odwdzię-

czyć i tak haniebnie zakończyć! — ponuro, ze złością wołał Adam.

— Cicho, mój zuchu, nie wygaduj na nieboszczyka, to się nie godzi!—strofował starzec.

— Czyż ja kłamię? Oszukiwali ludzi, a ci milczeć musieli, on zaś, kiedy go zawiodło bogactwo, wiesza się zaraz!

— Nie gniewaj się, Adamie. Niech mu Bóg przebaczy. Za mego dzieciństwa w Swerowie powiesił się również jeden człowiek. Było to w zimie, przed samym św. Mikołajem. Podług zwyczaju, chłopcy poprzebierali się za aniołów, dyabłów i chodzili od wsi do wsi. Skoro się zbliżyli do wioski, w której powiesił się ów człowiek, zaczęli go obgadywać. Naraz zerwała się ogromna wichura. Tylko w powietrzu gwizdało, świstało; czapki, ubrania poszarpał na nich ten wicher w kawałki. Przybiegli do wsi ledwie żywi, nieprzytomni.

— Ej, to wszystko baśnie—mruknął Adam—takie same, jak opowiadają o tej babie, która przeklinała wisielca, a gdy w parę dni przyszła do lasu na to samo miejsce, gdzie się on obwiesił, wyskoczył na nią ogromny, czarny pies i tak ją poturbował, iż na drugi dzień umarła.

— I nie wierzysz temu?

— Że na nią pies napadł, w to wierzę, ale w nic innego.

— Wierzysz, czy nie wierzysz, o umarłych jednak nie należy źle mówić. Oni już wszystko zakończyli tu na ziemi, a z uczynków sądzeni będą tam, w górze, to już ich samych sprawa.

— Przecież ja każdemu i Lusztinicowi dobrze życzę. Nigdy mi nie dokuczył, ja zaś, widząc go zgarbionym przy tych organach, zawsze czułem dlań litość, przykro mi było, że na stare lata tak ogromnie wychudł biedaczysko. Palto wisiało na nim, jak na kiju.

— Nigdy się jednak nie uskarżał.

— Wierzył widocznie w wygraną. Dobranoc wam!...

Wykręcił się Adam na pięcie, głowę trzymał prosto i szybko się oddalił.

Pozostali znów zamilkli.

Na dworze ściemniło się dobrze. Wierzchołki drzew nikły w mroku, na firmamencie ukazały się pierwsze gwiazdki.

— Należy oczekiwać wiatru — przerwał milczenie Podroużek.

— Czy z racyi wisielca?—pytał młodzieniec.

— Naturalnie, to już rzecz pewna i nieuniknio-na. Jeśli u nas nie będzie, to zawsze gdzieś blizko. Ale teraz ludzie nie dają temu wiary; wogóle wzrasta niewiara, swawola! No, czasem to i śmieszne rzeczy z tego wychodzą, jak raz np. w Milowie.

Stary komornik wyjął drewnianą fajkę i napychając ją, prawił:

— Mieszkał tam pewien gospodarz, Buchar, wielki sknera. Dopóki żona jego żyła, siedział w chałupie, niby suseł w norze, nikt o nim nie wiedział, ale po jej śmierci przemienił się zupełnie. Ubierał się porządnie, głowę sadłem smarował, brodę dawniej po całych tygodniach niegoloną, dwa razy w tydzień zaczął golić, słowem, odgrywał rolę wdowczyka do wzięcia. Wkrótce znalazł sobie szykowną dziewczynę, Leżaczkówuę, i wziął z nią ślub. Nie upłynął jednak miesiąc, a miła Bucharowa chodziła już strapiona, biegała do kościoła, na plebanię, dawała na mszę, wreszcie zapakowała się i uciekła od męża. Kiedy ją ludzie pytali o przyczynę ucieczki, odpowiadała, że zmarniałaby, umarła ze strachu, gdyż w chacie Buchara wciąż coś straszy. Co noc, po jedenastej godzinie, przez zamknięte drzwi wchodziła nieboszczka taka sama, jak ją pochowano, i groziła, narzekała, że w grobie nie ma spokoju, ponieważ jej mąż zaraz po

pogrzebie rozpoczął światowe, wesołe życie, a nie dał ani na jednę mszę żałobną. Mówiła że Bóg jej kazał chodzić tam w każdą noc, narzekać i rozpaczać; nie pomoże jej żadna już modlitwa, ani błogosławieństwa. Bucharowa nie wróci więcej do męża; wszyscy rozumniejsi wiedzieli, iż wymyśliła sobie tę bajeczkę dla usprawiedliwienia swej ucieczki od męża, który podobno sprzeciwiał się jej woli.

— A cóż na to Buchar? czy mu to było obojętne?—zapytał Czermak.

— Gdy mu powtórzono ową bajeczkę, uśmiechał się podobno i ani nie zaprzeczał, ani nie potwierdzał. I on był rad, że go żona odeszła, gdyż nowego małżeństwa miał już po szyję. Znów chodził zaniedbanie ubrany, nie golił się nigdy. Wtedy wszyscy się ostatecznie przekonali, że strachy były wymysłem dla pokrycia scen małżeńskich. Różnie się dzieje na świecie, gdy pan dłużej pożyjesz, wszystko sam poznasz.

Komornik, opowiadając, zaciągnął się z całą przyjemnością.

— Jak tam jest u Żalaków?

— Już tam nie będzie spokoju! Starzy pracują ciężko, po dawnemu, młoda sprowadziła całą rodzinę. Stary mówił mi kiedyś: „Człeku, włosybym sobie wyrywał, patrząc na to ich próżniactwo Nic nie robią, tylko gotują, pieką i jedzą: kawę piją, zajadają kurczęta, gołąbki; rzeźnik nie może nastarczyć mięsa, z komina nie przestaje się kurzyć, z kuchni zaś rozchodzi się taka woń, jak z zamku w Milowie. Praca i mozoły naszego życia w obce przejdą ręcę; my żywiliśmy się suchym chlebem, im twarze lśnią się od tłustości; myśmy chodzili w perkalu i barchanie, im żyd przynosi sztukę za sztuką materyi; my składaliśmy grosz do grosza, aby gruntu przykupić, oni już pole sprzedają. Doprawdy, targałbym włosy. Gdyby

nas Bóg powołał do siebie, żebyśmy przynajmniej nie patrzyli na to zniszczenie."

— Cóż młoda wdowa?

— Jej tam wszystko jedno, pewno już nowego męża upatruje. Stary radby ją wydał, byle za dobrego człowieka, który, jak mówił, ująłby gospodarstwo w swą rękę. Ale mnie się zdaje, że trudnoby znaleźć takiego, coby nią pokierować potrafił. Podług mnie, lepiej tam nie będzie i starzy doczekają się zupełnego upadku ich majątku. Nie chcę ja sądzić nikogo, lecz na nich widoczną jest sprawiedliwość Boska. Tacy byli skąpi i jeno swego Lojziczka widzieli.

— A ten strzelec straży pogranicznej, z którym była w Wietrowie?

— Czart ich zrozumie! Za życia męża wyróżniała go i lubiła bardzo, nieraz dokuczyła nim nieboszczykowi, dziś sprzykrzył się jej widocznie. Kto tam, mój miły, taką przewrotnicę zrozumie. Miała ona zawsze dość adoratorów, to obecnie, gdy jest tak bogatą, więcej ich zdobędzie.

— Muszę wracać do domu, zapewne już przyszedł pan kantor—mówił Czermak.

— Nie będziesz się pan obawiać?

— Czego? w strachy nie wierzę, a złych ludzi nie spotkam.

— I mnie też nigdy nie wydarzyło się nic złego. mimo, że często wracałem późno do domu, ale mój nieboszczyk ojciec miał dziwną przygodę. Przez czterdzieści lat chodził on do przędzenia i wtedy dopiero po raz pierwszy stał się ten wypadek. Wówczas miał robotę u swego siostrzeńca, w chałupie pod lasem. Niosąc przędziwo i wrzeciono, pospieszał do domu. Była już jedenasta wieczorem, księżyc prześlicznie świecił, mróz brał tęgi. Ojciec puścił się z góry miedzą, niepokrytą śniegiem, ale twardą, jak żelazo. Tam na skraju do niedawna jeszcze stała roz-

łożysta grusza, rodząca dzikie, twarde, niby kość, owoce. Przechodząc mimo, spojrzał się ojciec na drzewo i zobaczył na niem postać kobiecą w bieli, przędącą na kołowrotku. Ze strachu powstały mu włosy na głowie. Przez chwilę stał, nie wiedząc, co począć, wreszcie nacisnął czapkę i pobiegł co tchu. Usłyszał jednocześnie wołanie: „Daj początek, jeśli nie dasz. to skoczę z drzewa." I rzeczywiście, zaszeleściało coś pod gruszą. Ojciec dostrzegł już chałupę, więc śmielej pędził, czuł jednak, że owa postać zbliża się do niego. Jednym susem znalazł się przy chacie, rozwarł drzwi, zasunął je potem. Za drzwiami coś tak drapało, jakby niedźwiedź pazurami. Ojciec, wszedłszy do izby, padł na ziemię bez zmysłów. Domownicy wyskoczyli z łóżek, oniemieli z przerażenia; długo musieli go cucić, nim odzyskał przytomość. Kiedy opowiedział swą przygodę, zaręczali, że to była jakaś rusałka i że powinien Bogu dziękować, iż nie wpadł w jej ręce.

— To wam ojciec opowiadał, lecz mnie nic podobnego w całem życiu się nie wydarzyło, niczego się też nie boję, nawet o północy.

— Zatem dobrej nocy życzę... — żegnał pomocnik.

— Dobranoc! ja pójdę spać.

Furtka przy ogrodzie zaskrzypiała i preceptor wyszedł na łąkę. Z początku szedł wolno, później coraz szybciej. Lasy pogrążyły się całkiem w zmroku, niebo zaiskrzyło gwiazdami; gnieniegdzie w chatach migotało żółtawe światełko, zapóźniony śpiewak leśny zawodził pieśń wieczorną.

Czermak minął łąkę, zszedł na drogę, którą niedawno postępował kondukt pogrzebowy Żalaka. Nogi mu się zapadały w doły i wyboje, ale pośpieszał szybko. Naraz spostrzega jakąś skuloną postać, siedzącą na wzgórzu. Ciarki po nim przeszły, serce mu biło, jak młotem.

Postać wyprostowała się i szła na jego spotkanie.

— Niech się pan nie lęka, byłam na cmentarzu, widziałam pana, idącego z Podrużkiem, więc czekałam na pana.

Pomocnik, zatrzymawszy się, poznał Żalakowę.

— Czyż się pan gniewa, żem czekała?

— Czemużbym się gniewał?—chłodno odpowiedział.

— Pan tak niechętnie rozmawia ze mną.

— Teraz pośpieszam do domu... nie chciałbym mitrężyć, zresztą cóżby ludzie powiedzieli?

— Ależ ja nie zważam na ludzi, cóż mi po nich! Niech pan siądzie na chwilę, tak pięknie na świecie.

Stała tuż przy nim, obejmując go płomiennem wejrzeniem.

— Nie mogę, to niemożliwe—odpowiedział, spoglądając na pole bojaźliwie.

— Niemożliwe, bo ja proszę; gdyby pana prosiła ta panienka z plebanii, byłoby możliwe, usłuchałby pan zaraz. Ach, jak mi bezbrzeżnie smutno!

Czermak milczał, drżał jednak z gniewu i wrażenia.

— Nie wiesz pan nawet, jak ja cię kocham — mówiła z uczuciem, lewą ręką ujęła jego rękę, prawą na ramieniu położyła i patrzyła mu w oczy.

— Upamiętaj się pani!...—zawołał Czermak i odsunął się od niej.

— Nie uwierzysz pan? Już w Iczynie, kiedy byłeś jeszcze nieśmiałym młodzieniaszkiem, a ja wietrznicą, podobałeś mi się bardzo. A odkąd zobaczyłam cię tu, nie schodzisz mi z myśli—mówiła nerwowo, drżąc cała.

Pomocnik, przypomniawszy sobie, iż pierwszy raz ujrzał ją na pogrzebie męża, uczuł wstręt do niej. Prawdę mówił Podrużek, to dziwo-żona.

— Zostań pan ze mną chwilkę—odprowadzę cię do samej wsi. Czyż nie wierzysz, że cię kocham? Kto inny wiedziałby o tem dawno.

Oburzony pomocnik mruknął: dobranoc, i uciekał przez miedzę.

Wrócił do domu wcześniej od pryncypała; przy wieczerzy zaledwie usta otwierał.

Pani kantorowa nie dręczyła go pytaniami, wiedząc, że zakochani nie zawsze lubią rozmowę.

Pryncypał wrócił niezadługo po nim, a zasiadłszy do jedzenia, powiedział:

— A toż się włóczy ta Żalaczka, kogoż ona goni? Spotkałem ją na brzegu łąki.

— Na mnie tam czekała — smutno uśmiechnął się pomocnik.

— Na pana?! — zapytali jednocześnie zdumieni małżonkowie.

Czermak opowiedział im szczegółowo, jak wyczekiwała go zawsze na cmentarzu, a dziś zaczepiła na drodze. Oburzony był postępowaniem tej kobiety, starszej znacznie od niego, i ciągle myślał o tem, coby na to Albina mówiła, zapewne gniewałaby się bardzo.

— Jakież to bywają kobiety na tym świecie! — załamując ręce, wyrzekała kantorowa. — Biedny Lojziczek!

— Widocznie krew pomocnika jest słodką—żartował uauczyciel. — W podobnych jesteś opałach, jak ja niegdyś bywałem. W tym wypadku i jabym uciekał przed taką dziwo-żoną. Niejeden wyśmiałby nas tylko.

Tegoż wieczora Marynek wracał z plebanii nieprzytomny wprost ze szczęścia.

— Wiesz, Baro, co się stało? Proboszcz mnie wołał do siebie i pytał, czy chcę zająć miejsce Lusztinca.

— Coś odpowiedział?—szybko zapytała.

— Jeśli dobrodziej taki łaskaw na mnie, to przyjmuję z radością, odparłem.

Poklepał mnie po ramieniu i rzekł, iż wszystko dobrze pójdzie.

— Podziękowałeś, pocałowałeś go w rękę?

— Podziękowałem.

Kiedy preceptor przyszedł rano na chór, zastał już Marynka skurczonego nad miechami.

— Będę teraz kalikantem, bądź pan dla mnie wyrozumiałym.

Twarz mu promieniała od szczęścia.

XIII.

Kantor i pomocnik niemało mieli kłopotu z projektowaną „besedą." O pozwolenie pobiegł do Milowa sam kantor, gdyż wiedział, jak to wszystko trzeba przeprowadzić i wyjednać u naczelnika.

Przeszedłszy w zamku trzy kancelaryjne pokoje, których zakurzone okna parterowe ponuro spoglądały na mały, opuszczony park, kantor zapukał do ostatnich drzwi. Był nieco pochylony, na ustach miał uprzejmy uśmiech.

Za drzwiami dał się słyszeć krótki, niewyraźny dźwięk, jakby pies szczeknął.

Pan kantor otworzył, wszedł ostrożnie i rzekł grzecznie:

— Najniższy sługa.

W ponurej, sklepionej kancelaryi stało parę starych stołów, zarzuconych masą papierów i ksiąg; pod ścianami sterczały wysokie półki, założone grubemi oprawnemi księgami.

Pod oknem przy stole siedział przygarbiony naczelnik, w wytartym już, starym, obitym skórą fotelu, z którego prawie nie było go widać. Głowę miał siwemi włosami pokrytą, twarz pomarszczoną, długi, ostry nos, krótko przystrzyżoną siwą brodę. Ramiona, z po za których sterczały łopatki, zwieszały się ku dołowi.

Przez chwilę, nie zwróciwszy uwagi na przybyłego, majestatycznie czytał jakiś zapisany półarkusz papieru. Przewracając na drugą stronę papier, obejrzał się od niechcenia po za siebie, zmierzył wzrokiem kantora od stóp do głów i zakaszlał.

— Cóż tam znów nowego z Pozdietyna? wkrótce będzie komisya w szkole, więc czego jeszcze pan sobie życzy?—zapytał słabym, przenikliwym głosem.

— My, łaskawy panie, prosimy o pozwolenie urządzenia „besedy" — z uśmiechem odezwał się kantor.

Naczelnik zaśmiał się chrapliwie.

— Tak, nawet i w tym zapadłym Pozdietynie pozawracało się wam w głowach?—ostro dorzucił.

— Podobno nawet, łaskawy panie, i Niemcy w Rokitnicy urządzają „besedy," więc chcieliśmy i my naszym ojcom zrobić niespodziankę.

— No, już wy narobicie niespodzianek!... Wciąż panu coś nie do smaku i zachciewa się co moment jakichś reform, przeróbek, poprawek. Pan powinieneś zostać ministrem, a nie kantorem... Więc co pan zamierza urządzić?

— Chcielibyśmy program tej „besedy" dosyć urozmaicić, aby się ojcowie nasi naśmieli dowoli, to w robocie później i młodych prześcigną — wyjaśniać zaczął kantor.

— Lepiej niech pan zostawi robociznę w spokoju! Więc cóż tam będzie na tej waszej „besedzie!"

Kantor podał rozłożony program.

— „Wszystko na chwałę ojczyzny i króla" chór, ułożony przez Jelena; „Wilhelm z Kaunic," ballada Pichla; „Łzy patryotek," przez Tyla; „Czechem jestem," Rubisza; „Dobra noc!" piosnka Szkroupa; „Fajka," Rubesza; „Chór czeskich wojowników," muzyka Prohazki; „Kawka," Rubesza; „Ostatni," wiersz Pichla; „Kde domow muj?" („Gdzie mój kraj?"), słowa Tyla;

muzyka Szkroupa — mrucząc, czytał naczelnik. — No, proszę mi powiedzieć, niezmiernie ciekawy jestem, kto tam u was to wszystko wykona?—dorzucił uszczypliwie, przenikliwie spoglądając na kantora swojemi małemi oczkami.

— Ksiądz proboszcz, pewnie Adam Hejn, muzykant, mój pomocnik i ja będziemy śpiewać.

— To już nawet i ksiądz proboszcz będzie śpiewał dla naszych ojczulków?

— Łaskawy panie, mamy chóry niczego sobie.

— Hm... no, a któż więcej?

— Będą deklamować studenci i Albinka Podzimkowa z Wietrowa.

— Patrzcie państwo, „beseda" w Pozdietynie!... Uprzedzam, nie naróbcie tam jakich głupstw, bo mielibyście się zpyszna, że... Potrzeba im w Pozdietynie „Łez patryotek;" więc już i tam rozmnożyły się patryotki!... „Chór czeskich wojowników" i jakieś ballady—przeglądając jeszcze raz program, mruczał ironicznie i gniewnie naczelnik. — Oni tam wiedzą, co to ballada!

— Łaskawy panie, u nas się trochę znają, wszak wszyscy piśmienni.

— Ja na to już zwróciłem uwagę, ale daleko lepiej byłoby, gdyby sobie nie zaprzątali głów niepotrzebnemi rzeczami!

— To jest dobre, łaskawy panie, u nas w gospodzie w karty nie grają, niema bijatyk, jak gdzieindziej—odpowiedział kantor z tymże uśmiechem.

Wtem naczelnik zerwał się z krzesła, szybko przebiegł po pokoju i zatrzymawszy się przed kantorem, spytał nagle:

— Co, a kwarteu nie urządzicie?

Przy tem pytaniu naczelnik przenikliwie spojrzał na kantora swemi błyszczącemi oczkami.

— Nie, łaskawy panie!

— To szkoda. wielka szkoda!... Niby dlaczego

nie zagracie kwartetu? Przecież wykonawcy są? To byłoby coś lepszego: Beethovena, Mozarta, lub coś w tym rodzaju... niebiańska muzyka!... lepsze niż te nasze bajdurzenia! — przekładał spokojnie naczelnik.

— Cała kapela wykona jaką symfonię, następnie zaś będą tańce — odpowiedział nauczyciel.

— Cała kapela... to nie! Lecz tak... dwoje skrzypiec, wiolonczela i basy, to muzyka! — rzucił naczelnik, mlasnąwszy.

— Teraz, łaskawy panie, mamy pomocnika do tańca i różańca, i śpiewa, i gra, będzie można puścić się na coś innego, dotąd szło niezgorzej.

— Proszę pamiętać, nie zapomnij pan!

— Bardzo byłoby nam przyjemnie, gdyby łaskawy pan razem z innymi panami zechcieli nas odwiedzić — kłaniając się, mówił kantor.

— Za drugim razem, kiedyindziej, jak będzie kwartet... deklamacyi nie lubię. A co robicie z dochodami z tego koncertu?

— Na książki dla biednych dzieci.

— Hm... no!... — mruknął naczelnik, tak szybko przechadzając się, że aż poły fraczka rozlatywały się; skubiąc swą szczecinowatą brodę, znów zaczął:

— Jeszcze raz powiadam i przypominam: nie naróbcie jakich głupstw; wyście do tego zdolni; daleko lepiej zrobilibyście, opiekując się tylko kościołem i szkołą, a te „besedy" do niczego dobrego nie doprowadzą, zresztą i sama pani hrabina nie proteguje tego. Gdyby jeszcze był kwartet!... Z pana dziwny człowiek; na Trzy Króle nie chce się panu chodzić z kolędami, a teraz nagle będziecie wyśpiewywać wszystkim waszym babkom, dziadkom. Proszę mi to wszystko zostawić, to się przejrzy i damy panu znać! Teraz żegnam i proszę się kłaniać proboszczowi.

— Najniższy sługa — powiedział, kłaniając się kantor; za drzwiami już chytrze się uśmiechnął.

Zaszedłszy również i do reszty panów z admini-

stracyi z grzecznem zaproszeniem na „besedę," wesoło śpieszył do Pozdietyna.

Kalikant Marynek szybko biegał po wsi i okolicach z zaproszeniami, które pięknie kaligrafował pomocnik. Były kontrabandzista, starannie odziany, jak nigdy, wszędzie rozpowiadał, jakie to będzie wspaniałe przedstawienie, jak nauczyciele i proboszcz nadzwyczaj są zajęci przygotowaniami.

W czwartek przed Zesłaniem Ducha Ś-go odwiedził Czermaka śpiewak Szkmorzyl.

Przyszedł w płaszczu, jak gdyby podczas wielkiego mrozu, a przecież bez i czereśnie były już na rozkwitnięciu.

Położywszy wielką czapkę na łóżku, przygładził swą gęstą, siwą czuprynę i zaczął z powagą:

— Przychodzę z misyą, rzec można, anielską! Ponieważ pan w sprawie śpiewania ewangelisty wyszedł ze mną tak szlachetnie, więc i ja teraz jestem zwiastunem nadzwyczaj radosnej nowiny dla pana. Pani Żalakowa, właścicielka powszechnie znanego młyna, przy którym wszystkie zabudowania nowiuteńkie, pola, jak dworskie; wdowa piękna, świeża, jak róży kwiat, za którą stu kawalerów uchodzić chce sobie nogi, byłaby bardzo szczęśliwą, gdybyś pan zechciał wstąpić z nią w świetne związki małżeńskie!

Szkmorzyl, wykwiliwszy tę przemowę, wesoło patrzył na młodzieńca.

Czermak stał spokojnie, oparłszy się ręką o stół i milczał.

— Pan nie wierzysz? Ależ to święta prawda, szczęście wprost od Boga. Zupełnie jakby ono czekało tu w górach na pana! Teraz już można rzucić swoje preceptorstwo i odgrywać rolę pana. Taka wdówka... i taka bogata!

— A jak to dawno od śmierci Żalaka?—obojętnie [illegible] preceptor.

— No, najmniej kwartał; ale to nic nie szkodzi:

taki młyn potrzebuje gospodarza i męzkiej ręki. Zresztą, co ona ma począć? ma posypać głowę popiołem i rozedrzeć szaty na dwoje?!... Jest młodą, przystojną; nierozsądnie postępowałaby, przeistaczając się w zakonnicę!

— Więc pan to wszystko na seryo mówisz? — spytał pomocnik, uśmiechając się.

— Rzetelna prawda! Sama mi dała lekko do zrozumienia. Starszy strzelec nie odczepia się od niej; urzędnik milowskiej kancelaryi wciąż śle swata za swatem; Chlebna z Wietrowa już buty podarł od chodzenia za nią; kilku okolicznych młynarzy starało się również o nią; Bóg raczy wiedzieć, kto tam jeszcze i ilu ich, ale Żalakowa nie chce żadnego... i tyle! Nie chce żadnego, tylko pozdietyńskiego preceptora; on tylko jej się podoba, gdyż widzi, że jest zgrabny, elegancki, mądry i praktyczny człowiek. Mówię, szczęście tu na pana czekało!

— Niepotrzebnie pan się fatygował!—spokojnie odrzekł Czermak.

Szkmoszyl, jakby nie dosłyszał, przybliżył się i nadstawił ucha.

— Mówię, że daremnie pan się fatygowałeś!

— Więc pan nie chce? Czyś pan przy zdrowych zmysłach? — jęczał Szkmorzyl, łapiąc się za włosy.

Pomocnik nie odpowiadał.

— Pan Bóg ukarałby pana, gdybyś deptał nogami szczęście, które zsyła. Taka kobieta, tyle lat się ocierała pomiędzy ludźmi, ułożona jak hrabianka... taki ma młyn, tyle pola!...—mruczał Szkmoszyl.

— Napróżno o tem będziemy mówić... lepiej o tej sprawie nie mówmy wcale!

— To być nie może! Niechaj pan mi wierzy, że słucham tego, jak odurzony. Czterdzieści już lat jak jestem swatem, a takiego wypadku jeszcze nie miałem!

— Widzi pan, więc chociaż jeden się przytrafił.

— Ależ to niemożebne, przecież to waryactwo, dziwactwo, jakiego świat nie widział! Na taką propozycyę tysiące oblizywałyby palce.

Pomocnik ruszył ramionami.

— Panie preceptorze, niechaj mi pan nie ma za złe, ale żeby pan tego nie żałował! Niby na co pan rachuje? W najlepszym nawet razie, gdyby pan dostał posadę w wyśmienitej szkole, to wszystko nic w porównaniu z tem szczęściem!

— Niechaj się pan o to nie kłopocze! — odparł z uśmiechem Czermak.

— Więc proszę mi powiedzieć, jaką mam dać jej odpowiedź? Może wydaje się panu, że te swaty zbyt wczesne po pogrzebie, to w takim razie i poczekać można...

— Nie odpowiadaj pan nic, bo i cóż tu odpowiedzieć! Pan nie powinieneś był przychodzić do mnie z taką propozycyą... ja nie chcę o tem i słuchać nawet, ja... nie będę się żenił — mówił Czermak coraz prędzej i niecierpliwiej.

— Patrzcie, patrzcie państwo! odpychać takie szczęście. Ja już się cieszyłem, że skojarzę piękne stadło.

— Pański talent będzie miał zastosowanie z powodzeniem w innem miejscu; napróżno mówić będziemy o tem; ja preceptorem zostanę!

— Mógłby pan zostać, kiedy się to panu tak podoba!

— Przestańmy już o tem mówić!

— No, ale co ja powiem tej osobie?! Ona wprost skamienieje! Do śmierci nie zapomni, że pozdietyński preceptor nie chciał posiąść żalakowskiego młyna i być mężem takiej pięknej róży!

— Nie, niecierpliwmy się wzajemnie, to sprawa skończona!

Szkmoszyl wziął za czapkę, ale jeszcze stał w zamyśleniu.

— Więc cóż ja jej powiem?... Ale, może pan jeszcze pomyśli! Wyśpi się pan i jutro, pewien jestem, inaczej mówić będziemy.

— Nadarmo pan przyjdzie.

— Ha, co tu robić!... Lecz nie tracę nadziei... pan sobie to jeszcze rozmyśli! Wierz mi pan, do śmierci będzie pan tego żałował! Biegłem tu z radością, a odchodzę z niczem! Co ja jej teraz powiem? No, do widzenia, z Bogiem!—i zwolna, z powagą wyszedł ze szkoły.

Czermak zaraz poszedł do pryncypała, aby mu opowiedzieć o misyi Szkmoszyla.

— No, no, mój drogi, cała ta sprawa przedstawia się dosyć poważnie—mówił, śmiejąc się, nauczyciel.—Szkoda, tylko proszę się na mnie nie gniewać, nie tak trzeba mu było odpowiedzieć.

— Proszę cię, dlaczego? — poważnie zapytała żona.

— Żalakowej młyn wart parę groszy, a na nauczycielstwie nacierpisz się tylko głodu!

— Mówisz tak, jakbyś jej nie znał?! Przyszłoby do tego, że pan pomocnik odgrywałby rolę drugiego Lojziczka!—dorzuciła pani nauczycielowa.

— Daj spokój, przestań już i nie gadaj, Toniu! Nie wiemy, co tam w tej babie siedzi. Ze wszystkiego sądzić można, że pan pomocnik nietylko spodobał się jej, ale może być i chwycił za serce.

— Ale czy na długo? czy już mało takich gościło w jej sercu?

— Ha, zresztą możeby się i zmieniła!... Możebne, że dotąd była taką dlatego tylko, że nie znalazła człowieka według swej myśli?

— Ależ przecież ja panu pomocnikowi nie od-

radzam, uchowaj Boże! nie chcę mu podkopywać szczęścia!

— Wszystko trzeba dobrze rozważyć. Mówiłem już, że młyn coś wart, młynarka również nie byle jaka.

— Tylko głupi chwali książkę według oprawy, sam to nieraz mówiłeś!

Preceptor nic się nie odzywał przez ten czas, słuchał tylko z uśmiechem, obecnie zaś wesoło, lecz stanowczo powiedział:

— Gdyby ona miała młyn, jak zamek, gdyby ją zdobiły wszystkie cnoty—i wtedy jej propozycya byłaby zbyteczną. Do ożenienia się potrzeba jeszcze czego innego, ja nie do sprzedania! Niemiło mi, że ta kobieta przypomniała sobie o mnie i tak mi się narzuca... nieprzyjemnie o tem mówić i słyszeć!

— Rozumie się, to zupełnie rzecz inna!... pan sam siebie zna najlepiej!—dorzucił z uśmiechem nauczyciel.

— Tak, tak, panie preceptorze, byłam przekonaną, że się na panu nie zawiodę! Gdyby nawet i nic innego nie było—pani nauczycielowa spojrzała na pomocnika z filuternym uśmiechem to przecież odradzałabym panu! Widać ze wszystkiego, że Żalaczka marna kobieta, nie mająca zbyt wiele wstydu, inaczej nie czyhałaby tak na pana, nie latałaby grzesznica za panem tuż przy grobie męża, nie wyczekiwałaby, nie narzucała się... Jaką była, taką i została; kto jej się spodoba, za tym goni, nie zwracając na nikogo i na nic uwagi. Może, może kiedyś się i odmieni, lecz ile będzie miał jej mąż twardych orzechów do zgryzienia!...

— Patrzcie, jak nasza Tonia nauczyła się prawić kazanie!—zauważył z uśmiechem pan kantor.

— Bo przecież to wstrętne, gdy kobieta tak się narzuca! Wszak i tutejsi, ludzie obcy, w rodzaju starego Roubala, zauważyli, że Żalakowa jakoś tajemni-

czo krąży koło szkoły i zagląda do okna pewnego pokoiku.

— Szkoda jej, ładna jest, sprytna przytem, mogłaby żyć szczęśliwie i inni przy niej. I sama szczęścia nie zażyje, i starym we młynie również nie we soło. Niema co mówić, piękna rodzina: ojciec lekkomyślny, matka również, córka więc wyrosła, jak dziki kwiat. Ładną jest, dlatego ludzie ją popsuli, teraz zaś biega jak oszołomiona—mówił Czermak.

— Dobrze ją pan osądził—odparła pani — rzeczywiście, wszystko to szczera prawda, i, wierzaj mi pan, gdyby nawet ktoś powiedział jej dziś to wszystko, wyśmiałaby go; wszak i panu powiedziała: — Co mi po ludziach?

W Pozdietynie na porządku dziennym była tylko „beseda." Tkacz, roznoszący po domach płótno, Hejhal, chodził po chałupach i rozpowiadał:

— Już nie trzeba po cudach chodzić!... bo w Pozdietynie nawet i proboszcz będzie przedstawiał komedye...

Skarżył się, iż zeszłej jesieni Pepiczka nic nie kupiła u niego, tylko na jarmarku w Wietrowie.

Stara miotlarka też zawodziła:

— Boże, Boże, taki człowiek stateczny, oświecony i do takich bzdurnych rzeczy się zabiera!

Pewnego razu rozmawiała podczas kazania w kościele, więc ją ksiądz publicznie strofował.

Za to Adam Hejn między swoimi współtowarzyszami rozpowiadał, jaka to będzie wielka i przemiła zabawa.—Wszystko to będzie, jak w teatrze, ale to nie będzie teatr. Będą prześliczne śpiewy! a jakie deklamacye!... Nawet w Pradze lepszych nie było. U nas będzie tak, jak w Pradze!

W poniedziałek, w dzień Zielonych Świątek, przed oberżą „U lipy" stały tłumy ciekawych; zaglądali do okien i drzwi, jak przystrajali nauczyciele salę balową — na żadnym pozdietyńskim balu nie było

tyle upiększeń festonów z choiny, co teraz, ba, nawet i w samym Wietrowie nie zapalono tyle światła, jak na dzisiejszą „besedę." W sieni była kasa, przy której siedział pryncypał; uczestnik płacił 30 wiedeńskich krajcarów, co mu dawało prawo być obecnym na koncercie i przyjmować udział w tańcach.

Ojców i mam, młodzieży i panien stawiły się całe zastępy, a wszyscy postrojeni, jak na odpust, mamy - dobrodziejki zaś jeszcze spoglądały po sobie, ażeby ruchem niepotrzebnym, czy strojem nie uchybić tej „besedzie," którą urządza ksiądz proboszcz z nauczycielem. Sala balowa przepełniona była wonią balsamu, „bożego drzewka" i mięty, gdyż te kwiatki w wiązankach miały panny przy boku, mamy dobrodziejki zaś w rękach.

Z Wietrowa przyjechał sam pan pater z kilku miłośnikami sceny, pan kantor Hadek z małżonką i Babinką.

Pani Hadkowa z córką została się w szkole, a Hadek sam skierował się wprost do oberży, gdzie proboszcz i nauczyciele wszystko doprowadzali do ostatecznego porządku.

Pani nauczycielowa gotowała kawę, a wietrowskie panie rozpływały się w pochwałach nad gospodarstwem, w jakiem we wszystkiem widać wzorową gospodynię.

— Chciałabym i ja tak gospodarować—wydąwszy wargi i kręcąc głową, mówiła Babi—gdybym była w takiej oto szkole, pragnęłabym, ażeby wszystko tak było, jak u pani Czyżkowej.

— Muszę się przyznać, że z moich córek dobre gospodynie. Jestem ich matką, nie powinnam chwalić, ale co prawda, to nie grzech; kto je sobie weźmie, narzekać nie będzie — słodziutko chwaliła córki pani z Wietrowa.

W czasie tego Babi kiwała starannie przycze-

saną głową, spuszczała oczy i stroiła miny, jak małe dziewczątko.

Pani nauczycielowa musiała zaprowadzić Hadkową do pokoju pomocnika; Babi zatrzymała się przed drzwiami, wstydziła się bowiem przestąpić próg kawalerskiego mieszkania.

— Gdyby ten wasz pomocnik zechciał, mógłby zrobić karyerę—szczebiotać znów zaczęła Hadkowa — słowo mego męża znaczy coś u wikarego i naczelnika; mógłby prędko dostać się do Wietrowa, no, a tam materyalnie to zupełnie co innego, niż tu... tam... mógłby się i ożenić!

— Ależ, mamo, pewnie panu pomocnikowi tu dobrze, więc nie chce gdzieindziej! — cierpko zauważyła Babi.

— Et, co ty wiesz!... nie zostanie tu... chyba nie miałby rozumu. Powiedzcie mu, pani Czyżkowa, że gdyby czego potrzebował, to niechaj się wprost zwróci do męża, a mąż wszystko, co będzie w możności, zrobi dla niego.

— Ja mu to powiem — z radością odparła pani Czyżkowa.

— Wszak u nas lepsza jest pensya; muzyka również większy dochód daje; zresztą to widać po naszym preceptorze: ożenił się i dobrze mu się powodzi...—ciągnęła dalej Hadkowa.

— A gdyby i ona była praktyczną i na wiano przyniosła parę groszy, to jeszcze lepiejby się mieli— chłodno napozór dorzuciła Babi.

Na „besedę" poszły przed samym początkiem, żeby pozdietyńcy nie myśleli, iż państwo z Wietrowa nie mogą się doczekać, jak oni „besedy." Zato pan Hadek kręcił się wciąż koło proboszcza i pomocnika.

Proboszczowi wciąż mówił:

— Uniżenie całuję rączki, wielebny panie.

Pomocnika zaś poklepywał po ramieniu i słodko cmokał. Policzki mu się świeciły, oczy latały na

wszystkie strony, palce znów bardzo często zagłębiały się w srebrnej, odświętnej tabakierce.

— Podobasz mi się, bracie, bardzo mi się podobasz—mówił do pomocnika—muszę pomówić o panu z wikarym; on dla mnie wszystko zrobi. Tu, w Pozdietynie szkoda pana, musimy się postarać koniecznie, aby się pan do miasta dostał.

— Kiedy mi i tu dobrze—odparł pomocnik.

— Dlaczegoż, braciszku, tu miałoby ci być źle, ale zostać tu, mój kochany panie, nie możesz! To tylko przyzwyczajenie i nic więcej; gdyby się pan do nas dostał, to tam również byłoby panu dobrze. U nas kompletnie inaczej: dwie klasy, więcej wygód, piękna muzyka kościelna — słowem, mieszkamy już w mieście. Tu nie może się pan ani ożenić, a w mieście można!

Pomocnik się zaczerwienił.

— Ja przecież nie mówię panu, żebyś się żenił, lecz gdybyś się pan do nas dostał, to cóżby stało na przeszkodzie? Mógłby się pan u nas stołować. Ja sam zwracam uwagę, ażeby obiad dobrze przyrządzono. Na naszym stole dziki ptaszek nieraz się ukaże.

I pan Hadek w czasie tej rozmowy błogo ślinkę łykał, widać nawet było falowanie jego tłustego białego gardła, jak gdyby już połykał smaczne kąski.

— Wiesz, szanowny współrodaku, jestem jeszcze w sile wieku, ale czuję, że to nie to, gdym miał lat dwadzieścia; już trzeba pomyśleć w czyjeby ręce należało złożyć swą pracę, a chciałbym znaleźć zdolnego i dobrego następcę. O wikarego się nie boję, on wszystko dla mnie zrobi, na zamku również. Żona moja opiekowałaby się takim człowiekiem, jak rodzona matka!

I Hadek w zachwycie zagłębił swe palce w czeluściach tabakierki.

Skoro pomocnik przybiegł na plebanię po nuty,

Albinka już w stroju balowym wybiegła za nim na cmentarz.

— I ojciec jest tu, przyszedł popatrzeć się — opowiadać mu zaczęła.

— Czy zadowolona jesteś? — spytał, ściskając jej rękę.

— Nie bardzo... lepiej, gdy sami z sobą możemy pogwarzyć.

I w jej wielkich, modrych źrenicach odbijała się bojaźń i tęsknota.

— Wstydzisz się za mnie? Boisz się, aby ktokolwiek nie dowiedział się o naszej miłości?

Gorzko się uśmiechnęła.

— Wszak i bez tego ludzie już wiedzą — mówiła — będziesz pan tam z innymi, a o mnie zapomnisz!

— Albinko! jak może ci coś podobnego przyjść do głowy? Więc nie wierzysz, że tylko o tobie, o tobie jedynie stale myślę, a wszystko przez tę naszą miłość!

Objąwszy ją, pocałował w miękkie, różowe usta.

— Napewno tam będzie znów... ta...

— A gdyby i była, dla mnie tyś tylko na świecie!

— Ot i zaraz domyślił się, o kim mówię — zauważyła.

— Albinko! wierzaj mi, iż tylko ciebie jedynie kocham na całym świecie; gdybym ciebie stracił, straciłbym wszystko!... i we dnie i w nocy żyję tylko i myślę o tobie!

— Więc proszę pamiętać i być grzecznym. — rzuciła z wesołym uśmiechem i uścisnęła na pożegnanie rękę.

— Wartoby cię, Albinko, ukarać za ten Wietrów! pamiętasz? — groził jej i pocałowawszy się jeszcze raz, rozeszli się: Albina na plebanię, pomocnik do gospody.

Żelakowa przyszła również z wielką pompą; w popielatej sukni z trenem, we włosach, czarnych jak heban miała szeroką, niebieską wstążkę, na utuczonych białych rękach błyszczały bransolety, na szyi śliczny łańcuch z dukatów. Policzki jej pałały, z oczu tryskało tysiące iskier.

Starszy strzelec straży pogranicznej i milowski pisarz szli po bokach, jak ministranci. Strzelec z uśmiechem podkręcał swe czarne wąsy, urzędnik zaś, w czarnym fraczku i białych, opiętych spodniach, trzymając w lewicy wysoki cylinder, prawą przygładzał sobie łysinę.

Z chwilą kiedy oni weszli, pomocnik wybiegł do sieni, do pryncypała; wiedział, że wiele oczów wtedy na niego się zwróci. Wszystkie matki i ciotki zmierzyły Żalakową od stóp do głowy, następnie każda sama siebie obejrzała, jakby dla porównania.

Na środku sali tanecznej stały rzędy ławek już zajętych przez przybyłych gości; na pierwszej wprawo umieścili się przybyli ze szkoły i plebanii. Żalakowa, wraz z asystującymi jej, zasiadła na boku przy ostatnim, niezajętym jeszcze stole, który był właściwie przeznaczony dla mężczyzn. Kazała sobie podać dwie butelki wina i częstowała swych towarzyszy.

Zaraz po prześpiewaniu pierwszego kawałka kompozycyi Jelena, wszyscy zaczęli klaskać, pan pisarz ze strzelcem wołali: „brawo," a wietrowski pater z amatorami: „wybornie!"

Ksiądz proboszcz po tym śpiewie podszedł do wietrowskiego i z niekłamaną radością mówił:

— Zupełnie, jak w Pradze!... jak w Pradze!... Nawet już krzyczą „wybornie!"

Adam Hejn przechadzał się między ławkami, podkręcając z powagą wąsy. Kontent był, że kwartet męzki powiódł się dobrze.

Kiedy zadeklamował „Wilhelma z Kaunic," znów

się zerwała jeszcze większa burza oklasków, nawet dzieci i wyrostki za oknami krzyczały i biły brawo.

Następnie ukazała się na estradzie Albinka w białej sukni, gładko uczesana i swobodnie zaczęła deklamować:

Na wspaniały bal poproszono mnie raz;
W czem ja wystąpię przed tysiącem ócz ciekawych?

Cisza panowała niczem niezamącona.

Wszyscy słuchacze z lubością wpatrzeni byli w młodą dziewoję; ojciec Podzimek spoglądał oszołomiony na sufit i tylko od czasu do czasu zerknął z boku na córkę. Na twarzy jego malowała się jednocześnie radość razem ze strachem, jak wyjdzie całość.

Żalakowa podczas deklamacyi zaczęła szeptać półgłosem z jadowitym uśmiechem do strzelca.

„Pst!" wyrwało się z ust kantora i oczy wszystkich zwróciły się na bogatą młynarkę. Albinka na chwilę przerwała deklamacyę, kiedy zaś zaczerwieniona młynarka zamilkła, kończyła dalej z wdziękiem, uzyskawszy rzęsiste, zasłużone brawo. Nawet wietrowski pater, do głębi wzruszony patryotyczną deklamacyą Albinki, podszedł ku niej, pogładził ją po głowie, chwaląc za piękne wykonanie.

Młody Wacław Czyżek z utworem: „Czechem jestem," wypowiedzianym śmiało i z etuzyazmem, podniecił i starych i młodych. Słuchacze, nachylając się ku sobie, chwalili młodego deklamatora, mówiąc:

— W ojca się wrodził!

Kiedy znów po nim zaczął śpiewać Czermak, wszystko się uciszyło; po twarzach wszyskich rozlana była przedziwna błogość. Żalakowa w czasie tego śpiewu siedziała, spuściwszy oczy w dół i już nie próbowała szeptać.

Pomocnik dawno już prześpiewał swoje zwrotki, a Żalakowa siedziała, jak w ziemię wryta, bez głosu,

bez ruchu, nie zwacając uwagi i nie odpowiadając swym sąsiadom.

Wszyscy bez wyjątku słuchacze, po za Żalakową, zaczęli oklaskiwać gorąco i wywoływać pomocnika, tak, że zmuszonym był wyjść jeszcze raz na estradę. Siadł do fortepianu i zaśpiewał to, z czem już przedtem popisywał się na plebanii:

Gdybym ja wiedział, że wkrótce umrę,
Zamówiłbym sobie dębową trumnę...

Chłopcy za oknami słuchali z otwartemi ustami i wyłupionemi oczyma i każdą nutę tej melodyi w lot chwytali.

Po skończonym śpiewie znów się zerwała burza oklasków. I młodzi i starzy, łzy ocierając, mówili:

— To mamy preceptora! To ci śpiewa, aż miło! Taka stara piosenka, tysiące razy słyszeliśmy ją, a jak on ją zaśpiewał!

Albinka w czasie tego śpiewu siedziała nieruchomo, lecz twarz jej pałała niebiańską błogością.

Stary Podzimek, zwróciwszy się do siostry, mruknął:

— Niech go licho porwie! tęgi z niego śpiewak!—i z zadziwienia tylko wciąż kiwał głową.

— Nietylko z niego dobry śpiewak, ale i bardzo poczciwy człowiek!—dodała Pepiczka, łzy ocierając.

W tym czasie siadł do fortepianu pan nauczyciel i Babi z nutami w ręku wyszła na estradę.

— Cóż znów strzeliło do głowy panu kantorowi?—mówił w sieni Adam do pomocnika.

— Nuty przywiozła z sobą i już przedtem napomknęła, że z ochotą zaśpiewałaby cokolwiek, więc co miał z nią pan nauczyciel robić? Sam Hadek zachodził ze wszystkich stron i prosił.

— Popatrz się pan na niego, jak się po szyi głaszcze, jak mlaszcze, przechyla się!

Babi zaczęła wydawać dźwięki. Śpiewała „Dziewice słowiańskie", wykrzywiając się przytem tak, że mamy i ciocie pomimowoli uśmiechać się zaczęły.

— Noo!... do rana wszystkie myszy ztąd pouciekają, wróble nawet pofrunę w pole z dzwonnicy — mruczał Adam, podciągając wąsy w górę.

Babi wyciągała szyję, głową kręciła od prawego ku lewemu ramieniu, zwężała usta i w natchnieniu wywracała oczyma.

Pozdietyńscy słuchacze uśmiechali się, wietrowscy goście szeptać zaczęli, pan Hadek tylko obcierał łzy, a mama Hadkowa w pobożnem skupieniu patrzyła na córkę.

Kiedy Babi skończyła, słychać było brawa, lecz również śmiechy i głośną rozmowę. Babi, uśmiechając się, jak czternastoletnia panienka, powracała na swoje miejsce.

Wesołość już nie opuściła towarzystwa, więc „Fajka" Rubesza wypowiedziana przez wysokiego, chudego studenta Wodsedialka, a zwłaszcza zaś „Włościanin na bilardzie" w wykonaniu Adama Hejna podniecały tę wesołość. Zaledwie Adam pokazał się we drzwiach, wszyscy zaczęli się śmiać, a ciotki i mamy dobrodziejki stawały nawet na palcach swych aksamitnych trzewików. Miał on na sobie pożyczony od starosty mundur; wyglądał w nim bardzo okazale, gdyż pod spodem miał parę poduszek, podobny był do zamożnego włościanina. Sam starosta się śmiał, oglądał się dookoła, przypuszczając, że całe powodzenie zależy właśnie tylko od jego munduru.

„Besedę" zakończył śpiew pomocnika, hymn, którego dotąd jeszcze nikt nie słyszał: „Gdzie mój kraj?" (Kde domov můj?) [1]) O ile przedtem byli wszyscy

[1]) Hymn narodowy czeski.

wesoło usposobieni, teraz znów wrócił poważny nastrój.

— Ot, to jest śpiew!... to jest śpiew!...

— Ten człowiek umie za serce chwycić!

— To jest najlepsze ze wszystkiego! — szeptali, wstając, jeden za drugim.

Już po pierwszej zwrotce wzruszenie ogarnęło słuchaczy.

Ksiądz pleban, oparty o futrynę drzwi, nerwowo zażywał tabakę, a łzy mu spływały po policzkach.

— Franciszku! tyś uświetnił naszą pracę! — wykrzyknął, zaledwie Czermak przestał śpiewać, i objąwszy go wobec wszystkich, zaczął całować.

Piotr Chwala również wyściskiwał mu ręce, a zwracając się jednocześnie do plebana i kantora, dodał:

— Urządziliście wszystko doskonale, „beseda" tak wam się, moi przyjaciele, udała, że nie powstydzilibyście się z nią i w największem mieście.

— Dzięki Bogu za dobry początek, teraz trzeba dalej prowadzić nasze dzieło — mówił proboszcz i niebieską chusteczką obcierał zroszone czoło.

Pomocnik znalazł się w gronie rodziny Hadków. Pani, jakby już zapomniała, że na balu w Wietrowie przeszła koło niego hardo, bez zwrócenia na niego najmniejszej uwagi, nie mogła się go dość nachwalić.

— Z tym śpiewem mógłby pan wystąpić w stolicy, a chcesz pan zostać w Pozdietymie — zauważyła przyjacielsko.

— Pięknie, prześlicznie, kolego, przydałby mi się pan w Wietrowie, zaśpiewałeś tak czysto — mlaszcząc, pomrukiwał pan Hadek.

— Jakże się panu podobała nasza Babinka? Prawda, że ładnie; rzadko ona śpiewa, pozostawiając to Zofii. Co to za patryotka! Ot, to taka słowiańska dziewoja, o jakiej śpiewała!

— Ależ *mutterle*, proszę cię, przestań mnie chwa-

lić, cóż sobie pomyśli pan pomocnik? — mówiła wstydliwie, wydymając usta, jak dziecko.

— Co prawda, to prawda! Muszę przyznać, że gdyby kto inny miał trzy córki, jako my, byłyby one przyczyną kłopotów tylko, nasze są źródłem radości. Zajmują się pilnie domem, kochają nas i siebie wzajem, są skromne, nie wywyższają się, jak niektóre modnisie z chałupy, co to do stołu nawet nakryć nie umieją. Obecnie wiele rodziców tak dziwnie dzieci swe wychowuje; noszą one wyżej głowę, niż im urosła, a do pracy zupełnie niezdatne.

— Mm... mm... — mlaskał pan Hadek i kiwając tłustym tułowiem, przytakiwał żonie.

Przez cały ten czas pomocnik stał, jak na rozżarzonych węglach; odwróciwszy się, zauważył, że Albina go obserwuje i smutnie spogląda.

Żalakowa również nie spuszczała z niego oczu, dolewała sobie wciąż wina z trzeciej już butelki i cała rozogniona, śmiała się tak głośno, iż słychać ją było w drugim końcu sali.

Za chwilę wyniesiono ławki z sali, stoły w rogach umieszczono; panowie zebrali się w sąsiednim pokoju, panie zajęły miejsca przy ścianie sali.

Kantor wziął kontrabas, preceptor skrzypce i zaraz rozległy się tony walca „Odgłosy z czeskich łąk".

Ksiądz proboszcz z Pepiczką, panią kantorową, Podzimkiem i Albinką, księdzem Chwalą i z rodziną Hadków usiedli przy długim stole, przypatrując się tańczącym.

Żalakowa już tańczyła ze strzelcem, urzędnik zaś skwapliwie poprawiał sobie włosy i frak, aby później i on ją mógł schwycić.

Dzisiaj towarzystwo było więcej mieszane, niż w Wietrowie, nie było tyle fraków, przeważały krótkie kurtki, zamiast nankinowych spodni, były skórzane spodnie do kolan, białe, grube koszule.

Nie było tutaj widać ani tylu wykrochmalonych

perkalowych strojów, wycinanych staników i szerokich rękawów na parę ćwierci jabłek, koronkowych i tiulowych czepców. lecz spotykały się wciąż kolorowe wełniane ubrania, półwełniane spencerki, spódnice o barwach tęczy, wykrochmalone czepce z białemi dużemi kokardami i białe wyszywane lub angorowe chusty.

Albinka również dużo tańczyła, lecz to nie korciło pomocnika. Pograwszy, sam do niej podszedł, by przetańczyć trochę.

Pani nauczyciclowa z Pepiczką nie spuszczały z nich oka, z przychylnym, dobrotliwym uśmiechem na twarzy.

Ksiądz proboszcz z kantorem i księdzem Chwalą również ich obserwowali, pleban nawet mruczał do siebie:

— Dobrze, dobrze, Franku, spełniłeś wszystko, jak się należy, potańcuj sobie teraz!

Przetańczywszy z Albinką, pomocnik poprosił do tańca Babi, a pani Hadkowa spoglądała na nich tkliwie, ze współczuciem macierzyńskiem, pan Hadek zaś przymrużał oczy, i po każdym łyku mlaskał, smakował i ocierał pot.

Żalakowa rzucała muzykantom po parę cwancygierów, piła, jak wytrawny pijak, i tańczyła bez upamiętania. Ze szklanką chodziła po sali i trącała się ze znajomymi.

Pomocnik przetańczył również i z żonami obydwóch nauczycieli, nawet prosił i Pepiczkę, ale ona, poklepawszy go po ramieniu, odparła:

— To już nie dla mnie, nie dla mnie, nie!

Wynagrodził sobie tę odmowę, przetańczywszy jeszcze z Albinką, aż oczy i twarze im pałały z radości.

— Zadowolona jesteś? — spytał Albinkę, gdy się przez tłum przedostawali.

— W zupełności! — odpowiedziała z uśmiechem — lecz ta pani złowrogo patrzy na mnie.

— Nie zwracam na nią uwagi!

Przed północą księża ruszyli się ze swych miejsc.

— Trudna rada, czas do domu — zaczął ksiądz Chwala — ładny wieczór urządziliście; i z kim tylko zdarzyło mi się mówić, każdy go chwali.

— Zostańmy się, cioteczko, jeszcze chwilkę — prosić zaczęła Albinka Pepiczkę.

— Ale... zbieraj się, masz już tego dosyć!... — brzmiała odpowiedź ojca, na którą nie można było oponować.

Muzyka umilkła. Pomocnik, przetańczywszy jeszcze z żoną starosty, poszedł do swych skrzypiec; Podzimek stał we drzwiach, Albinka obok niego, dalej zaś Pepiczka, nauczycielowa i dwóch księży; Hadkowa kończyła się ubierać; pan kantor pomagał jej włożyć płaszcz.

Żalakowa, podniecona, czerwona, szybko oddychając, przechadzała się po sali ze strzelcem. Doszedłszy do Podzimka, zatrzymała się, zmierzyła wzrokiem Albinkę i głośno zwróciła się do jej ojca:

— Ale, masz pan pociechę z córuni!... pięknie deklamowała, aż miło słuchać! a i chłopca złapała przystojnego, śpiewa tak, że każdego może oczarować... tylko szkoda, że... (tu Żalakowa nachyliła się ku Podzimkowi i zachichotała) urodził się w... pokrzywach, ojciec mu zginął!.,. — i ze śmiechem skierowała się ku swemu miejscu.

Nalała sobie pełną szklankę wina i duszkiem wypiła.

Stary Podzimek zmarszczył czoło tak silnie, że włosy znalazły się tuż ponad brwiami, i postąpił parę kroków za Żalakową, lecz Pepiczka przytrzymała go za rękę.

— Chodźmy do domu!... daj jej spokój!... — rzekła głuchym głosem, w którym słychać było i gniew i ból.

Pomocnik słyszał słowa Żalakowej i aż się w nim

wszystko zagotowało. Zeskoczył z estrady, ale pryncypał zatrzymał go i zmusił usiąść.

— Siądź, przyjacielu, opamiętaj się!... czyż warto z taką nawet mówić!

— Chodźcie, towarzysze, chodźcie!... ona jest niepoczytalną! — rzekł ksiądz z Wietrowa i oni wyszli.

Rodzina Hadek pospieszyła za nimi, nic nie wiedząc, co się stało. Pan Hadek kołysał się, jak stary gołąb.

Tylko jeden proboszcz się został i patrzył zamyślony w ziemię. Następnie prędko podszedł do stolika, gdzie siedziała Żalakowa, i popatrzywszy na nią swemi poważnemi, czarnemi oczyma, rzekł karcąco:

— Ubliżyłaś pani dobremu człowiekowi, który ci nigdy źdźbła nawet nie przełożył przez drogę! Ja znam jego pochodzenie! Pamiętaj, pani, aby cię Bóg nie skarał!... — i spiesznie się oddalił.

Żalakowa ani mruknęła.

W sali tanecznej panowała zupełna cisza; wszyscy zdziwieni spoglądali, lecz co zaszło, nie wiedzieli dobrze. Mówili pomiędzy sobą, że młynarka zachowuje się jak dziki człowiek, i że mogłaby się nie pokazywać między ludźmi.

Kiedy znów zagrała muzyka, młynarka opuściła salę razem z asystentami.

Przy wsiadaniu na bryczkę księdza Chwali stary Podzimek zwrócił się do córki tonem rozkazującym:

— Bądź gotowa na jutro rano, przyjadę po ciebie!

I tylko tyle powiedział mieszkańcom plebanii.

Albinka długo w kuchni płakała.

Pleban szybko chodził z kąta w kąt i mruczał:

— I to taka wietrznica!... co on jej winien?!... Przestań, dziewczyno, płakać!... powiedziałem jej słowa prawdy! Hańbić chłopca, jakby to on był winien!... To tylko zemsta z jej strony!... tylko zemsta...

Pepiczka, obejmując Albinkę, opartą na jej piersiach, również szlochała.

— Przestań, przestań, dziecię moje—tkliwie jej perswadowała — co się stało, to i nie odstanie; wszak nie jesteś samą, ja cię nie opuszczę; zaznałam i ja w swem życiu niemało!

Albinka płakała przez noc całą, znała bowiem dobrze swego ojca.

Bardzo wczesnym rankiem przyjechał do Pozdietyna, lecz do nikogo słowa nie przemówił.

Albinka, układając swe rzeczy, wciąż miała łzy na zapuchniętych od płaczu oczach.

Pepiczka nie wiedziała sama, co ma począć w smutku i żalu.

— Dlaczego nam zabierasz to dziecię? — z boleścią spytała brata,

— Na wstyd i na hańbę mam ją tu zostawić!— odpowiedział ze złością, a zwróciwszy się do córki, krzyknął: — Prędzej!... jedźmy już ztąd!

— Pamiętaj, aby cię Bóg nie ukarał — smutnie prawić zaczęła Pepiczka.

— Więc pewnie myślicie, żem ją oddał tu po to, abyście ją swatali z jakimś tam golcem preceptorem? — odpowiedział, nie patrząc na żadną.

Wtem wszedł pleban.

— Niepotrzebnie, przyjacielu, tak wysoko nos zadzierasz! — zaczął chłodno.

— A więc mam śpiewać? Jakby to mnie tylko jednemu zdarzyło się wczoraj coś usłyszeć!... Dobrze się stało... sam Pan Bóg przyprowadził tę babę. Gdy nasi kantorzy mówili mi o tem, nie wierzyłem; myślałem, że to wprost niemożebne przypuścić, aby coś podobnego popierała i duchowna osoba, teraz zaś widzę to sam. Głupi jestem. Powinienem wiedzieć o tem dobrze, nauczony doświadczeniem i znajomością twej

osoby! — dodał pogardliwie, zwracając się do Pepiczki.

— Dobrze, dobrze, zabieraj sobie Albinę, ale takich rzeczy, proszę, nie opowiadaj... Posłuchaj, co ci powiem: szkody z tej oto plebanii nie odniosłeś żadnej; oprócz tego, cośmy sami zjedli, wszystko było twoje! Siostrze również nic wytykać nie należy; tyś stanął wpoprzek jej szczęścia!... Nie podnoś więc tak wysoko głowy, bo Bóg twą pychę widzi! Ten młodzian jest zacnym człowiekiem, z dobrego rodu! On temu nie winien, że jakiś tam pustak-panicz unieszczęśliwił jego matkę, i niczego więcej nie pragnąłbym dla ciebie, jeno tego, aby twe dzieci po śmierci tak cię szanowały i pamiętały o tobie, jak on o swojej matce. Pepiczka hodowała i ochraniała Albinkę jak rzadką, egzotyczną roślinę; i ja ją lubię i pragnę dla niej wszelkiej pomyślności, lecz dotąd żaden hrabia nie starał się o nią, a pozdietyński preceptor nie wiecznie będzie tylko preceptorem!

Proboszcz, domówiwszy to, szybko przechadzał się po pokoju i gładził na głowie włosy.

— Po co mamy gadać długie kazania!... dziecka wam tu nie zostawię, by nią miały sobie wycierać zęby jakieś tam młynarki; aptekarzowie oddali swą córkę do Pragi; jest ona u Julii Wodsediałkowy, która wyszła za profesora, tam się uczy i różnych robót i manier... ja tam oddam Albinę. To już jest uplanowane; akurat obecnie profesorowa bawi na czas świąt w Wietrowie, jutro zaś z aptekarzówną wyjeżdża do Pragi, Albina więc pojedzie z niemi! — krzyczał Podzimek.

— Owszem, owszem, poślij ją do Pragi, skoro tak ci się podoba!... z Panem Bogiem; temu sprzeciwiać się nie będę, twoja ona córka, tyś jej ojciec, więc jeżeli jesteś przekonany, że to przyniesie jej korzyść, to i ja jej życzę również tego samego ze szczerego serca. Ale zapamiętaj i to sobie, że pozdie-

tyński proboszcz nigdy nie popierał nic złego... zwłaszcza z wami wszystkimi był w dobrej komitywie, gdyż i on dużo przeszedł w swem życiu; twoja siostra opiekowała się nim, jak nikt pewnie na świecie, z wyjątkiem nieboszczki matki, której niechaj świeci światłość wiekuista na wieki. Zabieraj swą córkę, ona sama i Ten tam w górze najlepiej osądzą, kto ją lubił i uczciwie się nią opiekował!

— I jest tu sens! zobaczyć twarz bez wyrazu, usłyszeć trochę skrzeczenia, i zaraz się zakochać! — wciąż gburowato odpowiadał Podzimek.

— Racya, co za sens! Wszak nie wiesz, iż Żalakowa wszelkiemi siłami starała się o to, żeby pomocnika zaprowadzić do ołtarza? Nie wiesz również i o tem, że ona nawet do niego już i swatów posyłała i proponowała mu i młyn i pole, wreszcie i siebie samą, a on na wszystko odpowiedział: nie i nie. Ktoby tak postąpił? Tybyś pierwszy tak nie zrobił, będąc na jego miejscu!

— Co robi i jak postępuje Żalakowa, tak robić i postępować moja córka nie będzie; nie dlatego dla niej pracowałem i pracuję.

— Ależ dobrze, dobrze! Wszystko wypowiedziałem, com powinien i koniec. Tyś uparty i ja również! Od dzisiejszego dnia proboszcz z Pozdietyna nie zna Podzimka z Wietrowa i drzwi plebanii są zamknięte dla ciebie. Ty, Pepiczko, nie zrobisz ani kroku do nich. Jeżeli jest czyja w tem wina, to w żadnym razie twoja: tyś miała dla nich przychylność i miłość, na którą nie odpowiadał ci nikt, z wyjątkiem tego dziewczęcia. Żegnam cię, Albinko! Z Bogiem! Niech ci Bóg poszczęści. Być może, że kiedyś znów się spotkamy, lecz już w innych warunkach!

I ścisnąwszy Albinę za rękę, pogładził ją po zalanej łzami twarzy, wyszedł i już więcej nie pokazał się Podzimkowi.

Kiedy po chwili ojciec z córką jechali koło szko-

ły, pani nauczycielowa z podwórza ze łzami w oczach wołała:

— Z Bogiem, Albinko, pamiętaj też i o nas!

Kantor stał w drzwich i zażywał tabakę. Oczy jego wciąż nerwowo mrugały.

Albinka, przyciskając chustkę do oczów, tylko kiwała im głową na pożegnanie.

Podzimek na nikogo nie zwracał uwagi.

Pomocnik siedział na schodach w sieni, nawet nie pokazał się Podzimkom.

— Uspokój się pan, uspokój!... przyjdzie czas, wszystko się to wyjaśni!—uspakajała go pani nauczycielowa, wracając do kuchni.

— Nie rozpaczaj pan, kochany panie!... głowę do góry. Człowiek powinien walczyć z życiem!—tłómaczył kantor.

XIV.

Po tej „besedzie" pozdietyński preceptor nie pokazywał się ludziom i siedział w swym pokoiku, jak w klasztornej celi.

Na dworze było pochmurno; kwietniowe wiatry i deszcze pospędzały ludzi z pól, wierzchołki zaś Karkonosz pokryły się śniegiem.

Młode brzózki pod lasem, wyciągnięte wierzby i olchy przy strugach pookrywały się śniegiem, który się w dużej ilości poprzylepiał do świeżych liści, naginając swym ciężarem gałęzie.

Śnieg leżał i na wzgórkach, i w bruzdach, i rowach, lecz na krótko tylko, w ciągu godziny, dwóch najwyżej, już go tam nie było, tylko na łysinach Karkonosz błyszczał przez dni parę. W dolinie zostały po śniegu kałuże i strugi, które pozabłacały kwiatki i trawy.

Kantor, chcąc rozproszyć czarne myśli swego pomocnika, pewnego razu zwrócił się z taką propozycyą:

— Dałbym panu radę: przygotowuj się do konkursu, a tak przepędzisz smutek i apatyę. O ile prędzej odbędziesz się z nim, o tyle będzie lepiej dla ciebie; mam przeczucie, że wkrótce rozjaśni się na twoim horyzoncie. Bo, wziąwszy to wszystko na seryo, nie widzę, aby się coś nadzwyczaj groźnego sta-

ło? Ta wstrętna kokietka chciała pana znieważyć, nadęty zaś wietrowski mieszczuch rozdął to wszystko i sprawił ci przykrość. Ona ubliżyć ci nie może, a tamten burczymucha opamięta się; już się postara o to Pepiczka.

Na ten temat wciąż z sobą naradzały się żona nauczyciela z Pepiczką.

Najgorzej było, że Czermaka nie tak interesowały jak przedtem książki; chociaż i zaglądał w nie, ale myśli błąkały się gdzieś po świecie.

Wymawiał sobie, że się przerachował, nie przemagając się i ufając swym własnym siłom. Chwilami byłby z rozkoszą uciekł do babuni, skrył się w jej izdebce, by tam postarać się zapomnieć o swych cierpieniach.

Chodził na pół przytomny, wspominając wszystkie chwile, spędzone razem z Albiną; rozbierał każde jej słówko, lecz tem nie tylko nie sprawiał sobie ulgi, ale potęgował swą rozpacz. Nie mógł sobie dać rady. Jedynie tylko w czasie muzyki z kantorem i podczas zajęć szkolnych zapominał o bolącej go ranie.

Żalakowa zato postępowała, jak gdyby nic nigdy nie zaszło; codziennie rano bywała na Mszy i, stając przy mogile męża, spoglądała na Czermaka.

Wtedy zawsze starannie obchodził kościół, aby się nie spotkać z nienawidzoną przez siebie babą, która, pozbawiwszy go wszystkich najdroższych marzeń, nadal mu się narzuca.

We wsi mówiono, że młoda młynarka z racyi pomocnika codziennie chodzi pod wieczór na cmentarz, aby chociaż ztąd przez mur spoglądać ku szkole. Widzieli ją przystającą koło lipy, ba, nawet krążąca obok szkolnego ogrodu.

Stary Zit, grabarz, zatrzymawszy pewnego razu Czermaka, zaczął mu prawić:

— No, no, ktoby to był pomyślał, patrząc na

was, młody panie, żeś jak głaz, i jeżeli pan się nie ulitujesz nad tą młynarką, to ona zwaryuje, albo też znów coś takiego zmajstruje. Sam dyabeł nie widział, jak ona za panem szaleje! Et, niechaj mi pan wierzy, nic złego nie zrobiłby pan; inny złapałby ją obydwiema rękami.

— Przynajmniej wy, stary, nie dręczylibyście mnie, wszak jesteście doświadczonym...—z niezadowoleniem mruknął Czermak.

Zit ruszył plecami, nasunął na tył baranią czapkę i na odchodnem rzucił jeszcze:

— Już, mówię, szaleje bez opamiętania!

Po procesyi Bożego Ciała stary Roubal przyszedł na chór po preceptora; kiedy zaś po Mszy schodzili razem, staruszek zauważył:

— Wszak to dziś uroczystość Bożego Ciała?! Na wszystkie strony słychać taką kanonadę, nigdzie nie żałowano prochu, tylko nasz napuszony starosta nie dał na to ani krajcara. Łapie i łapie, wszystko sam pochłania, myśli, że za to sprawi sobie skórzane spodnie.

— Już wielu na to narzekało — potwierdził Czermak.

— Nie wielu... lecz wszyscy i wszędzie. Przecież to wstyd; Pozdietyn nigdy nie pozostawał w tyle, a teraz!... Zewsząd słychać strzały armatnie, Pozdietyn jeden milczy i cudzym kosztem tylko żyje! A cóż, panie preceptorze, ten kos teraz dopiero śpiewa?

Wymówiwszy to, zatrzymał się, zmarszczył czoło i ze ściśniętemi wargami wpatrywał się w Czermaka.

— Śpiewa, że się aż rozlega; od świtu zaczyna, a gdy ze szkoły wrócę, to o mało klatki nie rozbije!— odpowiedział młodzian.

Roubal zaśmiał się, jak stara synogarlica.

— Tak, tak, to zuch z wysokiego lasu! zachodzę czasami posłuchać go.

— Jeżeli panu tęskno za nim, to proszę mi powiedzieć! To jabym do pana przychodził słuchać go i nie krążyłbym koło domu—wtrącił Czermak.

— Nie, nie, ja wolę tak zdaleka... nie widzę go, ale słyszę. To zuch drozd! Wie pan, panie preceptorze, zdaje mi się, że on również się podoba młodej Żalakowej; ona też chodzi słuchać.

Przytem staruszek chytrze z podełba spojrzał na preceptora.

Czermak nic nie odpowiadał:

— Zapewniam pana, panie preceptorze, bez urazy, nie byłaby to zła kombinacya. Zapewne, oni [1]) to najlepiej wiedzą, lecz w tem nic złego niema, a Żalakowa we wszystko, wszyściuteńko opływa, panie preceptorze!—prawił z podniesionym w górę wskazującym palcem.

— Nic z tego nie będzie! — cierpko zaśmiał się preceptor.

— Wola Boga! jak świat światem, tak nikt nie widział, nie słyszał, jak tej kobiecie chodzi o nich.

Rozmowa ta mocno gniewała Czermaka, bo ktoby z nim nie zaczął mówić o czemkolwiek, wiecznie kończył o Żalakowej, w końcu aż nie wiedział, jak się od tego wybawić.

Raz po kolacyi siedział w swym pokoiczku przy stole i dumał o Albinie, wsparłszy głowę na ręce.

Jakby się schowała pod wodę, nic o niej nie wiedział.

W pokoiku Czermaka panowała kompletna ciemność i cisza, zamącana wyciem wichru i pluskiem kropli deszczu, obijających się o szyby.

Wtem dało się słyszeć: puk, puk, puk!

Pomocnik skoczył na równe nogi i podszedł do

---

[1]) On, oni=pan, pani.

okna. W ciemności poznał Żalakową, która, przycisnąwszy czoło do szyby, zaglądała do wnętrza.

W pierwszej chwili jakby wrósł w ziemię.

— Proszę się nie gniewać, niechaj pan na chwileczkę wyjdzie—prosiła żebrzącym głosem.

Czermak zaś z takim impetem wpadł do kuchni, że wszystkich przestraszył i zaczął jednym tchem prawić, co ten babsztyl wyprawia.

Kantor sam wyszedł do ogrodu, by jej nagadać słowa prawdy, lecz już po niej i ślad zastygł.

Na plebanii smutno teraz było; ksiądz pleban wciąż siedział w pokoju między swemi ptakami, które nie sieją, nie orzą, i przeglądał numery pisma: „Czeskie muzeum;" ołówkiem podkreślał miejsca, które mu się najbardziej podobały; po bokach zaś robił uwagi. Wziął się nawet do ściśle naukowych rzeczy Smetany [1]) „Zasad astronomii," i wieczorami chodził po podwórzu, śledząc konstelacye.

Dolejsz tylko kiwał głową na to wszystko, bo wydało mu się bezbożnem, aby ksiądz śmiał zajmować się sprawami boskiemi i badać gwiazdy na niebie; no, w końcu to wszystko brał na karb ciszy i spokoju, jakie nastały od wyjazdu Albinki.

Nieraz wieczorami, siedząc z panną Pepiczką, zapytywał:

— Co tam porabia nasza sroczka?

— Boże, co robi, co ona porabia!... ani słychu, ani dychu o niej. Nic się tu nie wymyśli—wyrzekała Pepiczka.

— Gdyby chociaż kilka słów napisała! Nasz Czermaczek chodzi, jak z podciętemi skrzydłami; trudno się teraz z nim dogadać, słowa od niego nie wydręczysz.

— Napewno ten burczymucha zakazał jej dawać

---

[1]) Ur. 1801, zm. 1861.

o sobie słóweczka wieści, a i profesorce pewnie również nakładł w uszy, że ją teraz trzyma, jak w więzieniu. Czy mam chodzić do aptekarzów i ich pytać? Dopieroby było gadaniny, niepotrzebnie dolałabym oliwy do ognia.

— Przecież może się odezwie; pewien jestem, że jej gorzej, niż nam. A trzeba przyznać, Czermak się trzyma nadspodziewanie, przecież to młody chłopak. Ile razy już mi przychodziło na myśl, że Albinka mogłaby lepszą partyę znaleźć, niż z tym preceptorkiem, ale teraz muszę przyznać, że są dla siebie akurat stworzeni.

Na św. Antoniego rano czekała Pepiczka pod chórem na pomocnika. Kiedy schodził na dół, kiwnęła na niego i kołysząc się w milczeniu skierowała swe kroki na plebanię.

— Dostaliśmy parę słów—zaczęła w sieni—nasza Albinka, ten kwiatek różany, pisała do ojca na imieniny, więc przy tej okazyi przeszwarcowała do nas list.

W kuchni podała Czermakowi list i z iskrzącemi oczyma śledziła wyraz jego twarzy.

„Moja droga duszko, przeukochana Cioteczko! Proszę, napiszcie chociaż parę słów do mnie; jestem tu, jak w zaklętym zamku, a żona profesora czuwa nademną, jak żona wodnika nad duszą. Ojciec zostawił setki zakazów, rozkazów, a i aptekarzówna śledzi mnie we dnie i w nocy; nie zwraca uwagi na to, żeśmy rodaczki i razem wspominamy o naszych górach. Jeżeli tęsknota mnie nie opuści, to ucieknę, wierzaj mi, Cioteczko, że ucieknę. Co porabia ksiądz pleban i dziadzio Dolejsz? Pozdrówcie odemnie stokrotnie wszystkich w szkole i proszę, błagam was, piszcie do mnie pod adresem, który niżej podaję.

Sto tysięcy razy pozdrawiam was wszystkich. Wasza wierna

Alba"

„Piszę od ojca na imieniny, a ten list postaram się przesłać przemytniczym sposobem. Adres mój: Albina Podzimkówna u pani profesorowej Herminy Vavrdowej na Zielonym targu nr. 396, w Pradze."

Kiedy Czermak przeczytał list do końca, zaczął znów odczytywać od początku.

— Widzi pan, chociaż niewiele, ale mamy — rzekła z uśmiechem Pepiczka, lecz Czermak nie objawił żadnej radości.

— Jakby ten list nie ucieszył pana?! To jest oznaka niezadowolenia, a przecież tam jest napisane: „w szkole wszystkich pozdrówcie stokrotnie" i „wszystkich" podkreślone aż trzy razy. Ale pan niezadowolony, że nie przysłała odrazu listu przynajmniej na trzech stronach... więc się pan chmurzy! Cierpliwości, więcej cierpliwości, gdy teraz wiemy już tyle, będę wiedziała, jak sobie począć, aby mieć więcej! — radośnie rozprawiała Pepiczka.

Jeszcze tego samego dnia zabiła parę dużych kurcząt i kaczkę; przygotowała pół kopy wyborowych jaj i dwa funty masła, przystroiwszy je barankiem; zapakowała to w paczkę i napisała list do samej profesorowej. Pisała, że dziwi ją mocno, dlaczego Albina do rodzonej ciotki słówka jednego nie napisze; że jeżeli zapomni o ciotce, ciotka również pamiętać nie będzie! Paczka z listem jeszcze tego wieczora była na drodze z Pozdietyna do Pragi.

Panna Pepiczka dobrze przepowiedziała; w tydzień przyszedł na plebanię list od Albiny, a w nim kartka, zaadresowana do szkoły.

— Przecież ja wiedziałam, że tak będzie — mówiła gospodyni, oddając pomocnikowi. — Czyż to nie znam panien praskich? Podzimek zaklinał, bronił, ale do kieszeni niechętnie zagląda, już ja go znam, my więc musimy go w tem prześcignąć.

Alba pisała, iż sama profesorowa zachęcała ją

do pisania do plebanii, w której przebywa przecież ciotka i proboszcz, i poleciła nawet załączyć ukłony od niej i męża; prosiła również, ażeby o tych listach nie wiedział ojciec i aptekarzowa.

Od tej pory regularnie już przelatywały wyrzuty pomocnika, wybuchy żalu, prośby, pocałunki, przysięgi z Pozdietyna do Pragi i Albiny z Pragi do Pozdietyna.

Wiosenne słońce, oświetlające codziennie od wczesnego ranka białe ściany izdebki preceptora, wypędziło z niej choć połowę tych zimowych smutków, narzekań i lodowych myśli.

Łąki pełne były kwiecia. Gęsta, bujna trawa, straciwszy pierwszą, świeżą zieloność, nabrała ciemniejszej barwy; kwitnące w niej rośliny wydawały balsamiczną woń, łąka sama falowała, jak zboże. Z jej gęstwin, w których ukrywał się krzykliwy derkacz, wyglądały kitki różnych traw, żabie oczka, dzwonki, pantofelki, podróżnik, szczaw, dzbanuszki, nad strumieniem rosły niezapominajki.

Z lasu, do którego wpadały mdławe promienie słoneczne, zalatywał zapach macierzanki i białej koniczyny.

Żyto obwieszone było niteczkami kwiatowemi, koniczyna mieniła się tysiącem kwiecia malinowego koloru; wszędzie słychać było brzęczenie pszczół, widać goniące się motyle. Na płotach przy budynkach skrzeczały sroki, wrzeszczały wrony, na nizkich drzewach uwijały się małe jaskółeczki, których czerwonawe podgardla błyszczały metalicznie. Na horyzoncie, czysto lazurowym, żarzyło się letnie słońce, z boków napływały delikatne, o fantastycznych kształtach obłoczki.

*

* *

We wszystkich kościołach, należących do patronatu hrabiny Walfrydki, przez dwie godziny dziennie rozlegały się dzwony pogrzebowe; w kościele służba przykrywała ołtarze czarnym kirem, do świec przywiązywała wstęgi z namalowanemi trupiemi głowami, przygotowywała katafalk.

Hrabina, wybierając się do Milowa, nagle umarła.

Drogę, którą odbywała co wiosnę do Karkonosz, teraz odbyła w metalowej trumnie, pilnowanej przez hrabiego Włodzimierza.

Z dóbr rodziny Walfrydów zjechali się do Milowa wszyscy urzędnicy, administratorzy, księża i nauczyciele i odprowadzili zmarłą z zamku do świątyni z całą przynależną jej pompą.

Tam oczekiwał świeżo odnowiony stary grób rodzinny. Na wszystkich ołtarzach gorzało mnóstwo świec woskowych, przesycając kopciem kościół.

Prezbiteryum wypełniała szczelnie inteligencya, lud mieścił się pod chórem. Sam wikary miał mowę pogrzebową po czesku, w której wysławiał pobożność i dobroć nieboszczki, żałowanej, opłakiwanej powszechnie.

Lud jednak nie słuchał prawie tych pochwał i łez nie ronił, a z ciekawością jedynie przyglądał się obcym twarzom kleru, szlachty i urzędników.

Na chórze panowie kantorzy powyciągali wszystkie instrumenty ze starych szaf. Miejcowy kantor, Zajiczek, przygarbiony, chuderlawy staruszek, snuł się pomiędzy kolegami to w tę, to w ową stronę i z nienaturalnym uśmiechem na ustach częstował wszystkich tabaką.

Dzięki protekcyi kantorów z Pozdietyna i Adam Hejn dostał się na chór, lecz stał w tyle przy bębnach, spoglądając na śmiejących się kantorów.

Naczelne kierownictwo rekwiami objął nauczyciel Hadek; stał on za organami w postawie generalskiej,

gładził swój podbródek i ze swej w kwiaty kamizelki strząsał resztki tabaki.

Czyżek dzierżył basy, preceptor pochwycił tenorowe nuty. Wszystkie instrumenty były doskonale obsadzone. Między dyskantami wpośród córek nauczycielkich znalazła się i Babi z matką.

Wikaremu, odprawiającemu mszę przy głównym ołtarzu, służyło wiele duchowieństwa, prócz tego przy każdym bocznym ołtarzu odprawiano również msze.

Lud przypatrywał im się ciekawie, zwracając uwagę na najmniejszy ich ruch. Byli tam przygarbieni siwowłosi starcy i bardzo młodzi kapłani.

W świątyni rozbrzmiewała głośna, wspaniała muzyka, rozchodziły się po niej mgły kadzideł i dym świec woskowych.

Po pogrzebie księża zgromadzili się na plebanii, kantorowie w gospodzie, szkoła bowiem nie byłaby ich pomieściła. Hrabia Włodzimierz przyszedł po południu podziękować im za udział w pogrzebie.

Kiedy wieczorem wracali mieszkańcy z Pozdietyna, proboszcz, oglądając się na Milów, powiedział:

— Nowe nastają czasy, pod górami nie będzie gorzej.

— Czy to już pewne, że Włodzimierz zostanie dziedzicem?—pytał kantor.

— Prawie napewno, sam wikary o tem mówił już po nim znać, że czasy się zmienią — odparł proboszcz.

Był on zamyślony, nic się nie odzywał, a pochłonięty myślami, nie zwracał uwagi na drogę, ciągle się potykał, idąc tak szybko, że mu ledwie nauczyciele dorównać mogli.

— Musi mieć trochę w głowie—szepnął kantor pomocnikowi.

Czermak to potwierdził skinieniem głowy.

— Co ci mówił pan Hadek?

Pomocnik, machnąwszy ręką, zawołał:

— Nie warto powtarzać.

Pan kantor pokręcił wąsy i roześmiał się.

— Mieliż ci ludzie dość pracy, nim tym wszystkim kantorom, pomocnikom, ich żonom i dzieciom o swoich córeczkach opowiedzieli. Biedny staruszek Kalsky słuchał tego, jak dziecko bajki.

— Widziałem, że się wyśmiewali.

— Ba, jeszczeby się nie śmiali!

— Stary mnie obcałowywał, ściskał ze łzami w oczach, dopóki mu nie przyrzekłem wizyty.

— Naturalnie, trzeba ich odwiedzić!... c cóż stara Haudkowa?

— Ma ciągle kłopot z wyprawą dla najmłodszej, musi przecież być tak wspaniałą, jak dla dwóch poprzednich córek. Narzekała na brak pieniędzy, w tych złych czasach zaledwie setka rocznie do kapitału przybędzie.

— Toż kłopot, gdy Pan Bóg obdarzy kantora trzema córkami — żartował pryncypał.

Wieczorem w domu opowiedzieli pani kantorowej wszystko od *a* do *z*, kiedy skończyli sprawozdanie o pogrzebie i znajomych, rzekła:

— I ja mam dla was nowinę.

Rano, o godzinie dziesiątej, przyjechała do Pozdietyna wspaniała kareta, a w niej siedziała czterdziestoletnia dama, prześlicznie ubrana. Z chałup powylatywali ciekawi i byli pewni, że się owa pani do Milowa wybrała i tylko przez omyłkę w Pozdietynie znalazła, woźnica jednak dopytywał się o starostę. Naturalnie, nasi starzy ludziska z bandą dzieciaków biegli za pojazdem ciekawi, co tam u starostów będzie się działo. Mówią, że skoro ta dama weszła do izby, pan kontroler ryknął, jak zwierz, i pędem pobiegł na strych.

— Może to była jego żona?

— Tak, panie, dlatego też uciekł przed nią.

— Toż mamy najlepszy dowód, że sumienia uśpić nie można.

Starościna sama była w domu; kiedy jej piękna dama opowiedziała kim jest, powstała na nią surowo. Ona rozpłakała się, zaczęła tłómaczyć swą winę, powiedziała, że otrzymała spadek, więc wszystko złe chce wynagrodzić.

— Odziedziczyła pieniądze pewnie po tym, z którym uciekła, to okropne!

— Naturalnie. Starościnie należy się pochwała, bo jej odpowiedziała, że jeśli męża doprowadziła swojem postępowaniem do utraty rozumu, to już teraz późno złe naprawiać; niechaj sama używa mamony tak haniebnie nabytej. Strojna dama dowodziła, że jako prawa żona zabierze swego męża. Starościna odparła energicznie, iż nie radzi jej tego próbować, bo choć oni nie chodzą, jak w Pradze, w jedwabiach i kapeluszach, jednak nie mieliby serca męczyć człowieka.

Moc ludzi stała w sieni i na dworze i wszyscy się przysłuchiwali rozmowie i śmieli, kiedy owa pani razem ze starościną udała się na strych do nieszczęsnego męża, ledwie tam wejść mogła, a wspaniałe szaty jedwabne pokryły się pyłem i słomą. Zbliżyła się ona do kontrolera, prosiła, płakała—wszystko napróżno, a gdy go pogłaskała, zaczął wprost warczeć i nie chciał się ruszyć. Dzieci starosty wbiegły właśnie, otoczyły stryja, wołając, że nie puszczą go wcale.

— Widzicie, prosty człowiek miewa często lepsze serce od bogacza.

— Kontrolerowej nie pozostawało nic więcej, jak wsiąść napowrót do karety i wracać do domu. Zagroziła, że męża w każdym razie odbierze; starościna pozostawiła to bez odpowiedzi, lecz otaczający tłum poczęstował ją porządnemi epitetami. Nasłuchała się, nasłuchała dosyć!

— A kontroler?

— Nie ruszył się od komina, dopóki starosta nie wrócił z Milowa i nie zniósł go ze strychu. Przekonawszy się, że w stancyi niema nikogo obcego, uspokoił się, usiadł znów pod kominem i po dawnemu rachuje na dłoni.

Doprawdy, trudno zbadać rozum ludzki. Niby to waryat, a poznał żonę i pamięta jeszcze, kto mu najwięcej w życiu dokuczył.

Musiała mu zaleźć za skórę, jeśli po takiej miłości gorącej teraz przed nią ucieka.

— Cóż mówił starosta?—zapytał kantor.

— Żałował, że nie był w domu, aby jej więcej jeszcze nawymyślać.

— Dobrze, bardzo dobrze, niechże ta niewierna kobieta upokarza się i męczy na stare lata. Kiedy się zestarzała i wszyscy ją odstąpili, wtedy przyszła.

— Podobno jeszcze pięknie wygląda; Marynkowa opowiadała, że niktby i nie pomyślał, iż ten mały, przygarbiony kontroler mógł być jej mężem.

— Popamięta dzisiejszą wizytą, ale to wybornie, przekonała się przynajmniej, że w górach ludzie nie są z drzewa!

. . . . . .

Następnego dnia pomocnik po skończonej nauce rozpuścił dzieci i przyszedł do kuchni, gdzie zastał proboszcza.

— Cóż, Franciszku, czy nie masz ochoty przejść się ze mną?—spytał proboszcz.

— Naturalnie, ma chęć—odpowiedział kantor—cały dzień nałyka się kurzu szkolnego, niechże się więc przejdzie.

— Z przyjemnością—dodał pomocnik.

— Pan Czermak uczyłby od rana do wieczora—wtrąciła pani domu—nawet wtedy jest w klasie, kie-

dy mąż do niej wchodzi. Inny z radością wyszedłby wówczas, zwykle przecież pomocnicy narzekają, że nauczyciele mało się szkołą zajmują. Byleby pan nie potrzebował się nigdy na to uskarżać.

Preceptor serdecznie się zaśmiał.

— Ja tak lubię szkołę, chciałbym też, ażeby pan pryncypał trochę odpoczął, ale gdzie tam! — jeśli nie w szkole, to w domu pracuje.

— Przekonałeś się już chyba, bracie, że u nas inaczej być nie może. No, gdzież pójdziecie?

— Dokąd pójdziemy? — odparł proboszcz w ziemię wpatrzony — może się wybierzemy do lasu księżego, jeszcze tam nie byłem w tym roku, toż ze mnie gospodarz!

Kantor z żoną roześmieli się głośno, preceptor spoglądał pytająco.

— Franciszek nic nie wie o moim lesie. Poczekaj, chłopcze, muszę ci go pokazać. Chodźmy. Zostańcie z Bogiem!

Włożył kapelusz i wyszedł.

Czermak biegł za nim.

Szli obok cmentarza drogą górzystą ku lasom. Proboszcz szedł wielkiemi krokami, przeskakując z kamienia na kamień, ze spuszczonemi w ziemię oczyma. Długie poły surduta rozwiewały się, wyglansowane cholewy butów błyszczały w słońcu.

Pomocnik, pospieszając za nim, rozpatrywał się po łąkach, pokrytych świeżą zielonością, po miejscach pustych, czerwonych od gliny. Wokoło panowała martwa cisza, przerywana jedynie świergotaniem zięby, siedzącej na jarzębinie.

Oddalone lasy świerkowe były ciche, czarne, ciemne ich drzewa stały prosto, jak żołnierze.

Poręba, oświetlona przez promienie słoneczne, wyglądała świeżo, zielono, a była tak równą, jak przystrzyżona peruka; miejscami tylko była rzadszą, ciemniejszą.

Z ciemnej głębiny wychylały się zielone, rozłożyste modrzewie i jasne, ogromne buki. Z boków, porosłych popielatawą trawą, piętrzyły się wielkie kamienie, powleczone mchem i żółtemi porostami, koło nich rozsiadły się młode jarzębiny, sosny i jałowiec. W rowie przy lesie pełno było rozchodniku, pokrzyw i macierzanki.

Wchodzili do lasu wolno, w milczeniu.

Pomocnik, widząc zamyślenie kapłana, nic nie mówił i przyglądał się grubym pniom. Proboszcz zatrzymał się nagle, palec położył na ustach i mech obserwował.

— Franciszku, chciałem cię zapytać, tylko proszę nie gniewaj się, czy też przypominasz sobie kiedy swego ojca?

Stanął tuż przy młodzieńcu, patrzył nań przenikliwie i mówił nadzwyczaj miękko.

Czermak spojrzał na niego ze zdziwieniem, poczerwieniał i spuścił oczy.

— Jeszcze raz proszę, nie gniewaj się, szczerze odpowiedz.

— Nie!—odparł młodzieniec spokojnie.

— Nie?—powtórzył proboszcz—to dziwne.

Przez chwilę stał zadumany, laskę wtykał w mech, uderzał nią w pnie, obnażone z kory, wreszcie zawołał:

— Chodźmy do mego lasu.

Na polance pokrytej mietlicą o rudych i bronzowych kłoskach i ognichą, latał aksamitny o modrych i żółtych brzeżkach żałobnik i kilka jętek, których blado-zielone skrzydła były jakby z muślinu.

— Nie potrzebuję ci chyba, mój przyjacielu, mówić, że historyę twej matki znałem już w Kostelcu, choć o niej nie było mowy na plebanii, a inni ludzie zaledwie coś o tem wiedzieli. Było to w rok

po fakcie, nie interesowało mnie to wówczas zbytecznie—znów podjął proboszcz.

— U nas w domu rzadko o tem wspominano. Matka zabrała do grobu swoją tajemnicę, dziadek i babunia nie wypytywali się, wiedząc, jak ją to boli... Wogóle nie dowiedzieli się wiele — prawie nic.

A zresztą poco? Nicby już nie pomogło, jeno boleść powiększyło.

— Był on synem naczelnika okręgu, pomocnikiem nadleśnego?

Młodzieniec potwierdził.

— Dowiedziałem się od jego sługi, z którym był na Węgrzech—sam się tem pochwalił.

Pomocnik spojrzał na księdza, w oczach mu pociemniało, otworzył usta, chciał coś prędko powiedzieć, ale nie mógł.

— Kiedy się dowiedziałem, że dziewczynę wypędzono do domu, łatwo sobie wystawiłem, co się tam na plebanii musiało dziać, ale nie miałem im tego za złe. Ksiądz Czermak doprawdy niezłym był człowiekiem, lecz słabym. Należy jednak wziąć pod uwagę, że plebania jest tylko plebanią... a do tego syn naczelnika...

— Taki pan... z zamku — cierpko mruknął pomocnik.

— Ach, chłopcze, to zrozumiałe, na świecie nic tak nie popłaca, jak wysoki urząd, stanowisko, pieniądze. Strasznie to smutne, lecz prawdziwe! I tam tak właśnie było. Czy tak, czy owak, rezultat byłby jednakowy, a proboszcz miałby przykrości, a może i coś gorszego.

— To wszystko odpokutowała, przecierpiała moja matka jedynie.

Z lasu przedostali się na polankę, otoczoną borami. Była ona nierówną, kamienistą, z małą skałą pośrodku.

Między kamieniami rosło dwadzieścia pokrzywionych, wielkości człowieka, sosen, trzy świerki, jedna zgarbiona brzoza i dwa modrzewie.

— Otóż, Franciszku, las proboszcza — śmiał się kapłan. — Wszak piękny? Byłby on takim, ale panowie bracia zapomnieli sadzić. Czy ten gaik nie śliczny? Nie widać tu nic prócz nieba, kamieni, pożółkłej darniny i wieńca lasów wokoło. Cichutko tu, spokojnie, uroczyście. Siądźmy.

Usiedli przy sobie na większym głazie.

W prawej stronie lasu odezwał się gołąb.

— Słyszysz, jak to bierze głębokie tony—zauważył proboszcz.

Gołąb odzywał się z początku, jakby tony fagotu, potem chrapliwie, wreszcie umilkł.

Zupełna była cisza, trawka się nawet nie poruszyła.

Cienie z borów kładły się na gaj księży. Firmament ciemniał: barwa niezapominajkowa przeszła w odcień dzwonków.

— Słuchaj, młodzieńcze — zaczął kapłan — nie poruszałbym tej bolesnej sprawy, gdyby nie to, że wskutek wielu okoliczności oparła się ona o naszą plebanię. Myślałem o tem długo, zastanawiałem się nieraz poważnie i doszedłem do przekonania, że musimy o tem pomówić. Mówisz tedy, iż nie wspominasz o ojcu?

— Nie — odparł znów pomocnik, a po chwili dodał:

— Chyba wtedy, kiedy rozbieram ciężkie życie mej matki, no, ale to nie taka pamięć.

— Rozumiem, doskonale cię rozumiem—szepnął proboszcz. — Widzisz, przyjacielu, lubię cię, poznałem twą otwartą głowę i szczere serce i dlatego życzę ci wiele szczęścia. W tym celu podjąłem różne starania. Słowem, wczoraj w Milowie dopytywałem się—

byli tam z Kostelca — z tej rodziny już nikt nie żyje...

Mówił wolno, cicho.

Pomocnik przy ostatnich wyrazach ożywił się i patrzył badawczo.

— Chciałem się dowiedzieć, czy żyje.

Czermak milczał.

— Wiesz, myślałem, że możebyś się zgłosił do niego.

Preceptor milczał.

— Zgłosił się jako syn...

— Chyba ksiądz dobrodziej nie mówi na seryo... — cierpko się uśmiechając, odrzekł pomocnik.

— Czemużby nie? Wszak miłość Boga rozgrzeszyła łotra—ciągnął dalej i swe głębokie ciemne oczy utkwił w młodzieńca.

— Ponieważ ja nie mam ojca — spokojnie, lecz stanowczo odpowiedział.

Proboszcz kiwnął głową.

— Myślałem ja to sobie; wiem, że gdybyś chciał, mogłeś to uczynić już dawno.

— Byłoby to hańbą dla matki i dla nas — mawiał dziadunio.

— Hańba, hańba, dobrze, nie każdy takby pojmował, ja jednak rozumiem dziadka, był on twardej, zacnej natury, choć prosty człowiek.

— Takim był rzeczywiście.

Dziadkowie żyli sobie spokojnie, kochali się, szanowano ich powszechnie. Wówczas dziadek miał nawet nadzieję dostania szkoły parafialnej. Wtedy właśnie brat go poprosił o Lidunę. Dziadek niechętnie na to przystał, wiedział bowiem, że im źle będzie bez córki, lecz nie śmiał odmówić bratu, a zresztą myślał o szczęściu, jakie tam prędzej może spotkać ukochaną jedynaczkę.

Młodzieniec zamilkł, dłonią potarł czoło i wpa-

trywał się w trawę. Ksiądz zamyślony siedział i ani drgnął.

— Co potem matka wycierpiała, wie tylko Bóg—ciągnął dalej swe opowiadanie—w listach nigdy się nie żaliła. Kiedy dziadunio rozmawiał ze mną znacznie już później o mamie, zawsze powtarzał:

„Karolu, twoja matka była bardzo dobra, wierzaj mi, przebyła z nami tyle lat i znaliśmy ją doskonale. Serce miała czyste, gorące, była cicha, posłuszna. Przyszedł obcy człowiek i zatruł tę czystą duszę, a w niej nas wszystkich. Ją wpędził do grobu, nam serca rozranił i skazał nas na wieczną niedolę i biedę. Matka się zamęczyła, my się wciąż jeszcze męczymy. Tak więc, Karolu, cały ród, który nikogo nie skrzywdził, cierpi za cudzy grzech... Ten, co go popełnił, żyje w słońcu, my w błocie... Znasz mnie, chłopcze, wiesz, że jestem rozważny, surowy, ale znając twą matkę, stanowczo twierdzę, klnę się przed niebem: To był grzech cudzy!..."

Tak mawiał dziadek.

Pomocnik opowiadał gorączkowo, z przejęciem, a gdy już zamilkł, wargi mu się trzęsły.

Proboszcz siedział wciąż na kamieniu, o laskę oparty.

— Widzi zatem ksiądz dobrodziej, że moje poprzednie zdanie ma racyonalną podstawę—dodał Czermak, uspokojony nieco.

— Bez kwestyi ubliżył, skrzywdził was śmiertelnie, zmiażdżył poprostu, a nic dobrego nie zrobił później, tak jest. Ale gdyby się zgłosił pierwszy, gdyby przyszedł i wyrzekł: „Karolu, jam twój ojciec!..."

Proboszcz wpatrywał się znów w pomocnika pytająco.

— On tego nie powie — uśmiechnął się preceptor — zakończył z tem dawno, kosztowało go to jeno

kilka wierszy, które do mej matki napisał... nie czytałem ich, były to jednak słowa...

— Lecz jeśliby przyszedł i tak się odezwał, Franciszku?...

Czermak zdjął kapelusz, ręką czoło potarł i mówił:

— Moja nieboszczka matka nigdy o tem nie wspominała. Zakrwawił, zdeptał jej serce, więc ono zamarło, przynajmniej na zewnątrz, bo że wewnątrz cierpiało i to bardzo, wiemy doskonale. Dopiero po odjeździe jej do Pragi dziadek wybrał się do Kostelca, nie po żebraninę jakowąś, lecz po zasięgnięcie dokładniejszych wiadomości. Wiele się nie dowiedział, a mawiał potem, że miłość nic nie znaczy na świecie, jeno mamona, sława i ta niepoczciwa pycha. Mama wzięła swój ból do grobu — ot i koniec!...

— Wszystko rozumiem, odczuwam, a przynajmniej tak mi się zdaje, no, ale gdyby przecież przyszedł i zawołał: Karolu, jestem twym ojcem, przychodzę późno wprawdzie, lecz zawszę przychodzę. Cóżbyś ty odpowiedział?

— Nazywam się Karol Czermak! Shańbiłbym nazwisko dziadka, inaczej odpowiadając—stanowczo odparł pomocnik.

— Otóż to chciałem wiedzieć, nic więcej, wybacz, chłopcze, że ci przykrość sprawiłem.

— Ależ, księże proboszczu—przerwał żywo, ujmując rękę proboszcza. — O tem wszystkiem, cośmy teraz poruszyli, jam nieraz myślał. Zastanawiałem się nad tem, że on może żyje, że różne mogą nastąpić kombinacye, serce moje jednak mówiło, iż inaczej nie postąpiłbym nigdy. Popełniłbym grzech na tych moich drogich, na cierpieniach ukochanej matki, zdradziłbym ją, opuścił. Proszę się więc nie gniewać na mnie.

— Przestań, chłopcze, przestań, ja cię odczuwam. Zbawiciel wszystko przebaczył, bo był Bogiem, my zaś ludzie mamy słabe serca.

— Ja mu przebaczam i matka mu pewno odpuściła, choć tego stanowczo nie twierdzę.

— Teraz już wszystko w porządku, to właśnie musiałem wiedzieć. Jeszcze raz powtarzam: lubię cię bardzo, bo masz tęgą głowę i zacne serce — i serdecznie uścisnął rękę pomocnikowi.

— Niech mi ksiądz dobrodziej wybaczy, że początkowo obawiałem się go, a raczej...

— Nie ufałeś mi, czy tak? Uważam to za naturalne?

W tej chwili obadwaj wstali, a proboszcz, objąwszy pomocnika, ucałował go kilkakrotnie.

— Przyrzekam zrobić ci, co tylko będzie można, sambyś tego nie uczynił, bo wierzaj mi, ludzie z takiem, jak twoje, sercem, nic nie warci, nic, nic, ja przecież mam takie same.

Proboszcz, kończąc tę sentencyę, roześmiał się głośno.

— Byliśmy w księżym gaju, teraz chodźmy na plebanię.

Szli obok siebie w milczeniu.

Las był już pełen cienia, a na jego skraju widać było zachodzące słońce, które rzucało na drzewa i ziemię mętno-żółtawe promienie. Wierzchołki drzew, pochylając się, mile szeleściły, igiełki sosen wolno i cicho spadały na ziemię. Olbrzymia osa latała od drzewa do drzewa, brzęcząc monotonnie.

Kiedy stanęli w dolinie, ujrzeli na wzgórzu przy młynie Żalaków młodą wdowę ze strzelcem. Wracali z lasu pod rękę.

— Widzisz!—zawołał proboszcz, podnosząc laskę w kierunku młodej pary.

Czermak się uśmiechnął.

— Może ci da już spokój.

— Życzę jej szczęścia.

— Ja również, ale w nie wątpię.

Na wsi spotkali Marynka. Szedł przygarbiony z łopatą i rydlem w ręce. Ujrzawszy proboszcza, spojrzał nań z pod oka i całując w rękę, rzekł z uśmiechem:

— Niech Bóg da zdrowie.

— No jakże tam idzie? — pytał kapłan serdecznie.

— Nieźle, Bogu dzięki—odparł wesoło.

— A nie daj się skusić, pamiętaj!

— Boże broń! Dziś rano szesnastu obieszczyków było na rewizyi w Przycawoju. Toż uciecha, że już do nas nie zajrzą—zaśmiał się radośnie i pobiegł szybko.

— Oh, już się uspokoił—mówił proboszcz z zadowoleniem.

W powietrzu uwijały się stada gołębi, na gospodzie jaskółki świergotały.

— To największa moja radość—zawołał kapłan, zataczając laską krąg w przestrzeni.

XV.

„Świat się przewraca, jako leniuch w łóżku"— mawiał pan kantor Czyżek.

Tam, gdzie parę tygodni temu jęczały w kościołach dzwony po śmierci swej kantorki-hrabiny, gdzie rozbrzmiewała muzyka pogrzebowa i gdzie katafalk tonął w mgłach kadzideł, obecnie uroczyście obchodzono objęcie tychże majątków hrabiny przez hrabiego Włodzimierza ze Skały, jako prawego sukcesora.

Znów najęczały dzwony, lecz świece na ołtarzach były przybrane kokardami, różami, girlandami; duchowieństwo było w kolorowych ornatach, a na chórze rozbrzmiewał radosny śpiew i muzyka.

W kościele pozdietyńskim śpiewali mszę Schidermeiera. Adam Hejn trąbił fanfary tak silnie, że aż się rozlegało, kiedy zaś Pażout zabębnił, szyby się w oknach zatrzęsły. Proboszcz zaśpiewał „Gloria" całą siłą swego głosu.

Urzędnicy z Milowa do tej uroczystości kościelnej chcieli przyłączyć i zabawę świecką: urządzili wieczór muzykalno-taneczny w miejscowej gospodzie. Na tydzień przedtem kancelista zjawił się w pozdietyńskiej szkole i w imieniu pana naczelnika zamówił muzykę, prosząc, ażeby utwory były o ile można najnowsze.

— Niech się wielmożny pan naczelnik nie trosz-

czy — uspakajał Czyżek. — Mamy wciąż nowe kawałki; wiemy bowiem, że polki starzeją się znacznie prędzej od ludzi; kiedy polka przez nas grana ma rok, wlecze się ona, jak ośmdziesięcioletnia babunia.

Pan kancelista śmiał się i, wyraziwszy nadzieję, że panowie będą zadowoleni, wyszedł, kierując się na plebanię.

— A więc „beseda", „beseda" — mówił proboszcz, wysłuchawszy zaproszenia.

— „Beseda", ale wszystko po niemiecku.

— Hm, hm... dobrze, dobrze, jeżeli będę mógł, przyjdę popatrzeć.

Przed wyjściem do Milowa pan kantor natarł potężnie smyczek kalafonią, pomocnika zaś napominał, aby się w domu dobrze najadł.

— Bo chociaż, według umowy, mamy dostać jedzenie i picie, nie powinniśmy się na to spuszczać, ponieważ ci panowie nie stosują do muzykantów uczynków miłosiernych co do ciała; wiem ja o tem z doświadczenia.

Wodoleczniczy zakład w Milowie położony był o kwadrans drogi od zamku; jeździli do niego w lecie na odpoczynek Niemcy z gór Karkonoszskich, fabrykanci z Jabłońca i Liberca.

Naprzeciw kurhauzu wznosił się długi jednopiętrowy budynek z ogromną salą, od dłuższego czasu nie zajętą, o której przypomniano sobie teraz, ażeby festynowi nadać więcej powabu.

Miejscowy szwajcar razem z dziećmi bednarza z browaru przez parę dni niemało mieli pracy, by zaniedbaną salę przyprowadzić do porządku, i kiedy muzykanci się zjawili, jeszcze nie wszystko było gotowe.

Kancelaryjny urzędnik, przechadzając się od rogu do rogu w czarnym fraczku i białych jak kreda, wąziutkich, spodniach (czem przypominał bociana), liczne dawał rozkazy.

Dla posilenia się i orzeźwienia kazał przynieść sobie kufel piwa, które pił przeszło godzinę, wysączając po kropelce.

Zoczywszy pomocnika Czermaka, zaraz podszedł do niego i klepiąc go po ramieniu, zaczął ze słodkim uśmiechem:

— Miałeś pan rozum, unikając tej młynarki, to nadęta sójka, przelotny ptaszek. Jeden ją odpalił, więc trzyma się strzelca, no, no... poczekaj, pośmiejemy się i my w swoim czasie!

Stary bednarz targał swe sumiaste wąsy i mruczał, że wszystko w zupełności zostawia się na ostatnią chwilę, że kompletnie tutaj można dostać pomieszania zmysłów. Sam zaś również nic nie robił, tylko co chwila zaglądał do swej blaszanki z piwem.

— Groch rośnie dobrze, chmiel jeszcze lepiej, ale nie widziałem, aby wąsy tak rosły — mówił Hejn, podkręcając wąsa.

Kantor wszystko zachwalał. Między zielenią falowały draperye z białego i czerwonego perkalu, w oknach wisiały ładne koronkowe firanki, przyozdobione girlandami z różnobarwnych kwiatów. Lustra błyszczały, we wszystkich rogach i na środku ścian gorzały świece. Na pierwszem miejscu stał świeżo odpoliturowany fortepian, dookoła zaś rzędy ławek krzeseł. Po bokach były dwa pokoje—jeden jako toaleta damska, drugi dla panów, lubiących małą pulkę.

— Siedmdziesiąt łokci długości ma girlanda, gruba zaś jak noga, i to wszystko tutaj zawieszono; pracy nieco było, i wszystko zrobiliśmy obydwoje z żoną! — rozpowiadał muzykantom szwajcar.

Adam Hejn wszedł na estradę, ustawioną w rogu, i wyśmiewał się, że muzykanci będą siedzieli jak żydzi w kuckach.

— I piwo też będzie—przechwalał się szwajcar.

— Tylko, żeby nie było tyle, co kropli na rozpalonym kamieniu — wyraźnie z naciskiem dorzucił

Pażout — bo, jak wam wiadomo, kiedy dziewięciu muzykantów stanie przy źródle, gdzie podostatkiem słodu i chmielu, to ztamtąd nieprędko odejdą!...

— Niema o to obawy; ot, przygotowana dla panów ta kamienna bania, kiedy będzie próżna, postawcie ją tu w rogu, a ja zaraz ją napełnię! — objaśnił szwajcar, wskazując nogą trzechmazowe [1]) naczynie kamienne, stojące w kącie.

Pejszoch zaśmiał się pocichu i oczy mu z radości zabłyszczały.

— Wszystkiego będzie wbród — prawił dalej szwajcar — pan pryncypał ofiarował trzy beczki piwa, pani naczelnikowa dużo prowiantów, żona starszego leśniczego zwierzynę, pani doktorowa cielęcinę i szynkę, a kasyer zapłaci muzykę.

— A pecóż ten tam pogański ołtarz? — spytał kantor, wskazując wprawo odedrzwi.

Był tam przygotowany wielki stół, na nim rzędy kufelków, w środku których widniało wysokie pękate naczynie dziwnej formy z różnemi przyozdobieniami.

— Dookoła tego naczynia zapali się spirytus i będzie się gotować czarna kawa — objaśnił z powagą szwajcar.

Kantor gwizdnął z zadziwienia.

— Dużo tu będzie gości, oj dużo, zdaleka i zblizka — głosił w dalszym ciągu szwajcar.

Zaczęło szarzeć. Nad wierzchołkami drzew było jeszcze jasno, ale w sali rozpostarła się ciemność na dobre. Kobiety kończyły zmiatanie, bednarczycy zaś zaczęli zapalać świece. Szwajcarowa zawiązywała chustkę pisarzowi, który narzekał, że go dusi, kręcąc przytem głową, jak indor.

Szwajcar, który oddalił się, po chwili wrócił w galowym niebieskim fraku z błyszczącemi, wielkie-

---

[1]) Maz albo mas lub też pinta zawiera 4 szklanki.

mi srebrnemi guzami, wielkości podwójnego starego grosza czeskiego

Wreszcie muzykanci zaczęli się przygotowywać, służba zaś, skończywszy wszystko, opuściła salę.

Kantor rozdał nuty i za chwilę zabrzmiału uwertura „Montechi i Capuletti".

Na przestrzeni między laskiem i gmachem rozlało się żółte światło latarni.

Goście zaczęli się zbierać. Przyszedł prawnik, kasyer, piwowar, paru leśniczych; wszyscy z żonami, które, jak komety, wlokły za sobą jedwabne treny. Panowie byli czarno ubrani; w czarnych frakach, zapiętych na jeden guzik, który błyszczał jak wielka kropla rosy na słońcu; na piersiach bieliły się suto rurkowane białe gorsy, wielkie kokardy, na nogach mieli półbuciki lub lakierowane pantofle ze sprzączkami. Od każdego już na parę kroków zalatywał zapach perfum. Zjawił się również i miejscowy proboszcz, niewysoki, przygarbiony siwiuteńki staruszek, o dobrotliwym wyrazie twarzy; wraz z nim weszli proboszcz z Pozdietyna i ksiądz Chwala. Gładko przyczesany pozdietynski proboszcz, chociaż i zadawał szyku swoim bielutkim i błyszczącym się jak śnieg kołnierzykiem, lecz zato znów poły jego świątecznego ubrania były zbyt pomięte.

Z chwilą przybycia pana naczelnika muzykanci zagrali „Pląsy warszawskie" Labickiego. Prawnik podszedł do żony naczelnika i z nią rozpoczął tańce. Na szyjach i rękach pań błyszczały drogie kamienie, na jasnych zaś rękawiczkach, zapinanych na długi rząd guziczków, widniały złote bransolety; każdy z mężczyzn miał na palcach po parę okazałych pierścieni.

Z naczelnikiem przyszła nieznana nikomu piękna, wysoka dama, w aksamitnym kostyumie, rumieńce gorzały na jej policzkach, jasno-blond włosy sięgały do talii.

Naczelnik zaraz poprosił ją do tańca. ale bar-

dzo niepozornie przy niej wyglądał: ubrany był w śnieżystej białości spodnie, poły jego fraka rozlatywały się na wszystkie strony, a siwa głowa zaledwie dosięgała podbródka tancerki. Pomimo to widocznie był z siebie zadowolony, bo słodko się uśmiechał, oczy mu pałały, nawet rumieńce powystępowały na policzki.

Pozdietyński proboszcz w przyległym pokoju wypytywał kancelistę, kto zacz ta nieznana dama.

— Aż z Pragi... z Pragi, tutaj przebywa na wodach — objaśniał, nie mogąc nastarczyć kłaniać się na wszystkie strony i obcałowywać ręce paniom.

Na bal przybyło wielu zamożnych Niemców z gór Karkonoszskich. Panowie byli we frakach, aksamitnych kamizelkach, w jasnych, pstro-nakrapianych spodniach, w półbucikach na wysokich obcasach, a starsze i młodsze panie były postrojone i wydekoltowane.

Muzykanci grali taniec za tańcem: walca, polkę, galopkę i poloneza; wesoły gwar rozlegał się po całej sali.

Naczelnik tańczył do upadłego, aż gors mu się pomiął, po twarzy spływały strugi potu, ale na pomarszczonej jego twarzy wciąż gościł uśmiech. Przetańczył ze wszystkiemi trzęsącemi się, podskakującemi, jak pławik na wodzie, paniami.

Około godziny dziesiątej zasiadł przy fortepianie z rozczochraną czupryną mężczyzna, napuszony, jak wiatr północny, i oglądał się dookoła.

Przed fortepianem stanęło czterech panów z nutami; rozczochraniec uderzył w klawisze, panowie zaś zaczęli śpiewać po niemiecku. Kasyer śpiewał tenorem i przytem wciąż kręcił szyją, zdawało się, że chce ją złamać. Po prześpiewaniu obecni zaczęli oklaskiwać i wołać: brawo! brawo! Naczelnik zaraz przybiegł do kasyera i ściskając go za rękę, nachylał się ku niemu, jak świergocący na grudce ziemi skowronek.

Rozczochraniec zwiesił zmęczoną głowę i jeszcze przez parę chwil uderzał w klawisze. W tem od wejścia rozległo się stukanie w podłogę.

Do sali wchodził z hałasem chudy, wysoki, zgarbiony pan o ziemistej cerze twarzy; włosy miał on krótko przystrzyżone, oczy głęboko zapadnięte i przygasłe nieco, tylko wypomadowane wąsy ostro odbijały od twarzy; w prawej ręce trzymał laskę, którą stukał po podłodze, pod lewą pachą miał składane krzesełko. Ledwie szedł, chociaż z ruchów sądzić było można, że chciałby iść prosto i energicznie.

Wszyscy mu się kłaniali, naczelnik wybiegł naprzeciwko, przysunęła się do niego i piękna prażanka, wzięła od niego z pod pachy krzesełko, ujęła go pod ramię i wesoło szczebiocząc, prowadziła do pierwszego miejsca w sali. Tam ustawiła krzesełko, na którem usiadł niedomagający. Zaraz podbiegł lokaj ze stoliczkiem i postawił go przed nowym gościem, przyniósł butelkę dobrego wina, z której nalał do kryształowej szklanicy; chory napił się sporą dozę.

Prażanka stała przy nim i gładziła go po głowie, urzędnicy kancelaryjni obstąpili go dokoła, słodko się uśmiechali i dziękowali za zaszczyt, jaki ich spotkał.

Muzykanci nie zapominali o pyzatem naczyniu, więc byli rozweseleni.

— No, jak się, Adamie, czujesz? — spytał Pażout.

— Zupełnie tak, jakbym przez płot zaglądał do raju — odrzekł Hejn z uśmiechem i zwrócił sie z zapytaniem do szwajcara, kto jest ten pan ze stolikiem.

— Jakiś wielki inspektor z Pragi, wielką liczbę majątków ma pod swoją pieczą, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Ta panna, chociaż i mówią, że to wcale nie panna, jest jego... no, jakby tu powie-

dzieć?... tego... no, rozumie pan? A przecież ona lepszego losu warta, niż wozić paralityków po zakładach.

Naczelnik podszedł do muzykantów i uprzedzał, by się nie popili, bo to do rana jeszcze daleko.

Pażout tylko śmiał się w duchu i szepnął Adamowi:

— On nie wie, co to muzykanci!

Kantor, rozpytawszy się odźwiernego, wyjaśniał pomocnikowi, że ten rozczochraniec, to nauczyciel od pewnego fabrykanta z Liberca [1]) i wielki muzyk.

Skoro muzykanci przegrali walca Straussa, znów rozczochraniec siadł przy fortepianie, ale zamiast śpiewaków, stanęła z nutami w ręce ta prażanka.

Praski inspektor siedział niespokojnie na swojem krzesełku, kręcił nerwowo wąsy i często popijał ze szklanki.

Salę zaległa cisza głęboka. Liberecki nauczyciel delikatnie dotykał się klawiszy, przegrał preludyum i prażanka zaśpiewała.

Parę taktów zaledwie prześpiewała, a kantor szepnął pomocnikowi:

— Niech licho porwie! to przecież ona ma w gardle całą klawiaturę.

Księża, piwowar, doktór i nadleśny stanęli we drzwiach zasłuchani. Śpiew, jakiego nie słyszeli przedtem, odciągnął ich od pulki.

Inspektor nie mógł dłużej wytrzymać na miejscu; z trudnością dźwignąwszy się, przybliżył się do śpiewaczki i w niemym zachwycie wpatrywał się w nią.

Huragan oklasków i krzyku zerwał się w sali i nie ustawał, aż znów się śpiewaczka ukazała przy fortepianie, aby cośkolwiek zaśpiewać.

---

[1]) Czeskie miasto Liberec Niemcy nazywają Reichenberg.

Nowy śpiew wzbudził również silny zachwyt. Inspektor plątał się po sali i radośnie pukał laską po podłodze; na ziemistego koloru policzkach jego pojawił się lekki rumieniec.

— Ta to śpiewa!... nieprawda może?! — huknął odźwierny kantorom. — Ale nic dziwnego, mówią, że śpiewała w teatrze w Pradze.

— Wierzę, wierzę — przyświadczał nauczyciel— warto było posłuchać, bracie, takiego śpiewu u nas w górach nie usłyszymy.

— Pięknie, pięknie... szkoda, że po niemiecku!— mówił proboszcz z Pozdietyna do wietrowskiego.

— Była w praskim teatrze — dorzucił ostatni.

— W teatrze była?... no, patrzcie państwo!... a teraz już nie jest?

W czasie tej rozmowy przybliżył się do nich kancelista.

— Teraz jeździ z tym, z naderwanemi nogami inspektorem. Przebiegła, czuje, że ten ma pełną szkatułę. On wdowiec, ma córki dorosłe, ale pomimo to trzyma ją — cicho wyjaśniał księżom.

— Więc to nie jego żona?—ze zdziwieniem spytał proboszcz.

Kancelista uśmiechnął się i machnął ręką.

— Mówią, że dzieci porzucił, ponieważ przez nią robiły mu wymówki; jej się wciąż trzyma. Wszak sądzić możemy obecnie po jego twarzy, jakim jest dla niej i kim ona dla niego.

— A cóż ona?... czy ma ona rozum?... — dorzucił proboszcz, nerwowo zażywając tabakę.

Urzędnik kancelaryjny sucho się zaśmiał, gładząc się po łysinie.

— Ona ma swój rozum, myśli, że po pierwszym ataku niedługo trzeba czekać na drugi; wszak na to wychodzi... nie? Ale wy, wielebny panie, mieliście sposobność poznać tego inspektora.

Proboszcz ze zdziwieniem spojrzał na niego.

— To Tarant, Tarant — szepnął urzędnik.

— Karol Tarant? — zadrżawszy wyjąkał proboszcz i przerażony aż cofnął się ku stołowi, stojącemu na środku pokoju.

— Ten, ten sam — potakiwał kancelista — chociaż ledwo łazi, ale umie korzystać z dóbr świata tego. Przyjechał do nas w góry po zdrowie, i synogarlicę zabrał z sobą. — I znów, niby konik polny, wpadł na salę.

Ksiądz Chwala zwrócił uwagę na pozdietynskiego proboszcza, rażonego tą wieścią; siedział on i w milczeniu tarł ręką czoło.

— Dziwisz się proboszczu, temu, coś usłyszał?— spytał go ksiądz wietrowski.

— To są dzieje!... to dzieje!... bracie...

— Tak, tak, wielebny panie! a teraz dla rozweselenia zagrajmy sobie — mieszając karty, wołał doktór.

— Za chwilę, panowie, za chwilę...

— Zdaje mi się, że to ta piosenka wszystkiego narobiła proboszczowi — dorzucił z uśmiechem nadleśny, pięćdziesięcioletni, czerstwy mężczyzna.

— Ta piosenka? O! to się pan myli, mojego szanownego współbrata mogła oczarować jedynie pieśń czeska! — z błyskami w oczach mówił stary milowski proboszcz.

W sali znów rozlegać się zaczęła taneczna muzyka i zaczęły się pląsy.

Inspektor, siedząc na swem krześle, nie spuszczał oka z pięknej śpiewaczki, uśmiechającej się do niego w czasie tańca i co chwila pochylał się nad szklanką.

Naczelnik był między muzykantami i grał na pierwszych skrzypcach.

Po przegranym tańcu zwrócił się do kantora:

— Ten liberecki pianista mówił, że mamy lichą orkiestrę, a to fałsz! wy, panowie bardzo dobrze gracie... bardzo dobrze!

Kantor zaczerwienił się i zaczął gładzić sobie brodę.

— Patrzcie, patrzcie go, Niemczura jakiś — bąknął z gniewem.

— Tylko proszę się nie obrażać, wszak powiedziałem przecież, że to nieprawda! — rzekł naczelnik prędko, lecz przychylnie — i prysnął do dam.

Po chwili siadła do fortepianu praska śpiewaczka, a liberecki rozczochrany nauczyciel stanął obok niej. Zaśpiewał jakiś romans, z którego nie można było zrozumieć ani słówka, ale za to przewracał oczyma, pochylał się, kołysał, jakby się miał w górę unieść, tylko krtań mu drgała w natężonem gardle.

— Powiadam, on się połamie! — mruczał Adam do kantora.

— Podobno powiedział, że nasza orkiestra nic nie warta.

— Eh, ten Reichenberger? [1]) Ale, wiecie co, panie nauczycielu! a gdyby tak zaśpiewał nasz pan preceptor? Tenby dopiero pokazał.

Kantor spojrzał na Adama, w oczach mignęły mu iskry i rzekł:

— Tam do licha!... to też pomysł!

Adam z uśmiechem przymrużył oczy i zaczął podkręcać wąsy.

W sali znów brzmiały oklaski i słychać było: „brawo, brawo!"

— Im wszystko jedno—odezwał się pomocnik do Pejszocha—i jego oklaskują, jakby śpiewał jednakowo ze śpiewaczką!

— Ona to umie, czyż nie?—ze śmiechem odpowiadał muzykant, chytrze mrugnąwszy—śpiewa, jak anioł i minorowe tony bierze, jak po maśle! Gdyby

---

[1]) Liberec — Reichenberg po niemiecku.

tak jeszcze do tego umiała ugotować ziemniaki i zmówić modlitwę do Anioła stróża?

Tymczasem kantor podszedł do naczelnika.

— Na dzisiejszy uroczysty dzień jabym jeszcze coś miał, gdyby łaskawy pan pozwolił—zaczął z uśmiechem, gładząc się pod brodę.

— Proszę, proszę, mów pan—odrzekł naczelnik.

— Jest tu dobry śpiewak, rzadko gdzie się taki znajdzie... gdyby on zechciał cośkolwiek zaśpiewać.

Naczelnik bystro spojrzał mu w oczy.

— Nasz preceptor, łaskawy panie, powiadam zuch....

— Zuch... zuch... wszak tutaj wszystko koncertowe, wybrane...

Kantor uśmiechnął się.

— Łaskawy panie, ten liberecki, w porównaniu z naszym, to kogut.

Naczelnik kilka razy mrugnął okiem i twarz mu nerwowo zadrgała.

— Głos, jak dzwon, wysoki tenor... zresztą niech pan będzie łaskaw spytać się księży.

Naczelnik w milczeniu kiwał głową, następnie, zwróciwszy się do kantora, podniósł palec do góry i z powagą zaczął:

— Tego libereckiego pana zaprosiliśmy dla zadowolenia jego państwa; ale muzyki nie powinien ganić, to dobrze rozumiem! A więc... zobaczymy — i śmiejąc się do wszystkich, podążył do męzkiego pokoju.

— Mówiłem, braciszku, naczelnikowi, że dobrze zaśpiewałbyś.

— Ja? Boże uchowaj! tutaj... w takiem towarzystwie!

— Przecież wiem bardzo dobrze o tem, że najchętniej zaśpiewałbyś gdzie w kącie; ale zwróć uwagę, że to nie żart i nie głupstwo; tym sposobem wiele możesz wygrać!

Pomocnik nic nie odpowiedział kantorowi, ale błagalny jego wyraz twarzy mówił za niego.

— Wszak słyszałeś tego rozczochranego niemczurę! A jakie były oklaski i krzyki! Gdy ty zaśpiewasz, to niemcy będą jak oszołomieni.

— Wszyscy tu powystrajani.. a ja jeden tylko po preceptorsku.

— Głupstwo, i to gałgan i tamto również gałgan, ale pomyśl, kochany chłopcze, co tym sposobem zyskamy! Przez cały wieczór wyciągają tu po niemiecku, a tybyś naraz uciął naszą nową kompozycyę Szkroupa! Pomyśl tylko, bracie, dobrze. Przytem pewny jestem, że pójdzie kompletnie dobrze: Niemców w zdumienie wprowadzisz, naszym zaś trafisz do serca.

— Kiedy się bardzo boję...

— Bracie, jeżeli mnie choć odrobinkę kochasz — mówił nauczyciel i gorąco spojrzał na młodziana—zrobisz to dla mnie... pierwszy raz cię proszę... będzie to i dla ciebie dobrze!...

Pomocnik już się nie wzdragał, uśmiechnął się i skinął głową.

Tymczasem naczelnik wypytywał pozdietyńskiego proboszcza, co to za śpiewak ten ich preceptor.

— O, Czermak, to słowik, aż miło słuchać! — zażywając tabakę odpowiedział proboszcz i badawczo spojrzał na naczelnika.

— Gdyby on nam cokolwiek chciał zaśpiewać?

Przerażony proboszcz aż cofnął się w tył i lękliwie odpowiedział:

— Tutaj?!... o nie... nie!...

— A dlaczegoż nie miałby zaśpiewać, sam pan go chwaliłeś i kantor mi mówił to samo...

— Kantor mówił?... tak... rzeczywiście ładnie śpiewa... ale tutaj... tutaj... nie!!...

Wtem podszedł ksiądz Chwala.

— Słyszałem, że pozdietyński preceptor bardzo

ładnie śpiewa, ksiądz proboszcz nie życzy sobie jednak, by śpiewał — mówił księdzu naczelnik.

— Ależ to niemożebne! — roześmiał się ksiądz Chwala.

— I on tak ładnie śpiewa?—spytał jeszcze naczelnik.

— Zuch! —zaświadczył ksiądz.

— Lecz tu... rozumiesz bracie, tu w takich warunkach, w takich trudnych warunkach...

Naczelnik dłużej już nie słuchał, tylko skierował się ku kantorom.

— Przysięgam, dziś proboszcza nie poznaję! — zaczął z uśmiechem, kiwając głową ksiądz Chwala i nachyliwszy się, szepnął pozdietyńskiemu:

— Jeżeliby mógł śpiewać, niechaj zaśpiewa... przez cały wieczór raczyli nas niemczyzną, cała sala pełna tych niemiłych dźwięków!

Proboszcz uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział.

— Do Niemców z gór nie mam żadnej pretensyi, ale ci... tutejsi!... Paplają wszyscy po niemiecku od naczelnika do pisarza, a przecież to rodowici Czesi! Czy takich potrzeba hrabiemu Włodzimierzowi?—przytłumionym głosem mówił kapłan.

Proboszczowi trzęsły się wargi, a oczy rzucały iskry dokoła.

— Bywają wypadki, panie bracie, dziwne, ważne wypadki...

Wietrowski proboszcz kręcił głową, spoglądając na pozdietyńskiego.

— Niechaj im zaśpiewa pieśń Tyla z „Fidlowaczki" [1]), to w sam raz dla nich; kantorowi świetna

---

[1]) Jedno z narzędzi szewckich—ambuz; tak też nazywają doroczne święto praskich szewców, przypadające w pierwszą środę po Wielkiej Nocy; w czasie tego święta urządzają zabawę ludową w Nuslach pod Pragą. Tyl napisał w 1834 r. pod tym tytułem dramat, osnuty na tle tej uroczystości, gdzie jest i narodowa pieśń czeska: „Kde domov můj?"

myśl przyszła do głowy, lepiej być nie może. Pójdę do nich!...—i ksiądz poszedł.

— Niech się dzieje wola nieba! niech się dzieje...—szeptał proboszcz, przechadzając się—widać tego sam Bóg chce!

Wracając do pokoju dla panów, wietrowski proboszcz z radością oznajmił, że wszystko już w porządku, naczelnik sam sobie bardzo tego życzy; ten śpiewak niemiecki rozgniewał go!

— Niech się dzieje wola Boga! niech się dzieje wola Jego!– szeptał do siebie proboszcz.

— Wszak wy się nie gniewacie, proboszczu?... Przecież to przyjemnie... szczęśliwy wypadek...

— Zupełnie co innego, panie bracie, zupełnie co innego!... ale tu się dzieją rzeczy dziwne, zadziwiające!... niech się dzieje wola Boska!...

— Przez cały wieczór, przyjacielu, nie poznaję was.

Proboszcz poważnie pokiwał głową. Drugim razem, szanowny panie bracie, drugim razem... proszę tylko nie myśleć, że czeski śpiew nie podoba mi się, tem ubliżyłbyś mi, lecz...—przytem ksiądz wzruszał ramionami i tarł ręką spocone czoło.

Na pogańskim ołtarzu, w prawo od wejścia do sali, już gorzały niebieskie ogniki; pani kasyerowa wraz z doktorową i żoną nadleśnego zaczęły przygotowywać wieczerzę. Służba poprzystawiała w sali balowej do ławek stoliki, goście rozmieszczali się i wkrótce słychać było brzęk noży i widelców.

Chory inspektor siedział ze swą śpiewaczką, szczebioczącą wciąż do niego. I orkiestra dostała kolacyę: po krajance chleba i po bardzo małym kawałeczku wieprzowiny.

— Dostaliśmy tyle, co u Braci miłosiernych [1])— mruczał Pażont.

---

[1]) Duchowny filantropijny zakon *Fratres misericordiae*; egzystuje w Austryi i Czechach od początku XVII w.

W sali słychać było śmiech i wesołą rozmowę, do czego przyłączał się szmer liści i drzew, wpadający przez otwarte okna.

Po kolacyi rozdawano czarną kawę. W trakcie tego naczelnik przechodził przez salę w towarzystwie kantora i pomocnika.

Zapanowała cisza.

Kantor usiadł do fortepianu.

— *Was ist denn... was ist denn?* [1]) — rozlegało się na wszystkie strony.

— *Ah, die wollen vielleicht auch koncertieren*[2])— zaśmiał się rozczochraniec.

— *Na wir werden sehen...*[3])

— *Das ist ein Unsinn...*[4])

Pomocnik bez nut stanął obok kantora; oczy miał spuszczone, nogi mu się trzęsły.

Liberecki śpiewak uśmiechał się zjadliwie i z chytrością spoglądał w stronę fortepianu.

— *A hübscher Kerl ist der Junge* [5]) — rzekła otyła fabrykantka.

Kantor dotknął się klawiszy i zagrał przegrywkę.

— *Der spielt gut* [6]) — słychać było przy stołach.

Wtem pomocnik zaczął: Kde domov můj?...[7])

Głos mu drżał, lecz dźwięczał czarująco.

Goście przestali pić i z natężeniem patrzyli na śpiewającego.

Rozczochranemu nauczycielowi uśmiech zastygł na ustach, ręką zaś nerwowo szarpał brodę.

---

[1]) Co to jest, co to jest?
[2]) Ci zapewne chcą też dawać koncert.
[3]) Ano, zobaczymy...
[4]) To niema sensu...
[5]) To jest przystojny młodzian.
[6]) Ten gra dobrze.
[7]) „Gdzie mój kraj?"

Pomocnik wciąż ze spuszczonemi oczyma coraz pewniejszym głosem śpiewał:

. . . . . .

To jest ta piękna kraina
Ziemia czeska—ojczyzna ma!...

Obecni w czasie śpiewu powstawali ze swych miejsc, a gdy pomocnik skończył, w sali zerwała się burza oklasków i okrzyków.

— *Wer hätte gedacht, dass in Milov auch Flastenzen sind*[1]) — ze zjadliwym uśmiechem przemówił liberecki rozczochraniec—ale nikt na niego nie zwrócił uwagi. Ucichł więc zaraz i do nikogo się nie odzywał.

Księża, wietrowski i pozdietyński, stojąc we drzwiach, mieli oczy pełne łez. Kantor błogo i z dumą uśmiechał się, a naczelnik, stojący niedaleko fortepianu, kiwał głową do taktu. Staruszek, milowski proboszcz, przyłączył się do naszych księży i radośnie szeptał:

— Przepięknie, prześlicznie!...

Adam Hejn, z wlepionemi w jeden punkt oczyma, pociągał swe wąsy, Pażout siedział bez ruchu z zaciśniętemi wargami.

Kantor znów skończył przygrywkę i pomocnik zaśpiewał następną strofkę.

Chory inspektor powstał z krzesełka i opierając się na lasce, postąpił krok naprzód.

— *Schön, nicht war, schön?*[2]) — szepnął do śpiewaczki, a ona, ściskając go za rękę, potakiwała głową.

Prześpiewawszy, pomocnik ukłonił się, przelotnie spojrzał na publiczność i odszedł od fortepianu.

---

[1]) Ktoby mógł pomyśleć, że w Milowie są tacy patryoci.
[2]) Pięknie, nieprawdaż, że pięknie?

Goście poopuszczali swe miejsca i stojąc, wciąż bili brawo i wywoływali pomocnika.

Naczelnik chwycił go za rękę i, ściskając ją, mówił:

— Dobrze, dobrze, przewybornie!...

Księża również podeszli do niego, z radością spoglądając i na publiczność i na pomocnika.

Kiedy kantor odchodził od fortepianu, zobaczył przed sobą inspektora.

— Kto to jest? kto jest ten młodzian? — pytał szybko ochrypłym głosem.

— Nasz preceptor, Karol Czermak! — radośnie i głośno odpowiedział kantor.

— Karol Częrmak... Karol... Czermak!...—szybko, bezdźwięcznym głosem wyjąkał inspektor i tak silnie chwycił kantora za rękę, jakby chciał ją urwać. Oczy mu gorzały, jak węgle.

Obok nich stała już i śpiewaczka.

— Skąd ten śpiewak?—spytała po czesku.

— Z Lan biednej wioski za Paką! — z uśmiechem szybko objaśnił kantor.

— *Um Gotteswillen*! [1])—krzyknęła nagle, aż się po całej sali rozległo.

Inspektor upadł na podłogę.

— Wody!... wody!...—krzyczała śpiewaczka i, klęcząc, podtrzymywała inspektora.

Naczelnik, jak opętany, rzucił się ku wejściu i krzyczał:

— Wody!... wody!...

Naokoło inspektora i śpiewaczki skupiło się dużo osób.

— Panie doktorze! panie doktorze!—wołały panie, doktorowa zaś pryskała wodą na twarz zemdlonego.

---

[1]) Na miłosierdzie Boże!

— Prędzej, prędzej, gdziebądź do pokoju! — radzili inni.

Doktór już był przy chorym i, nachyliwszy się, badał usta i puls na sinej, chudej, długiej ręce.

Wyprostowawszy się, doktór przez chwilę patrzył w przestrzeń, potem pokiwał głową i surowo spojrzał na śpiewaczkę.

— Nasamprzód na łóżko!—rzekł głucho.

— Bierzcie go, bierzcie, tylko ostrożnie...—mówił półgłosem kantor i, ująwszy go pod pachy, ostrożnie wsparł jego głowę na swej piersi.

Inspektor miał zamknięte oczy, policzki zapadnięte, z nawpół otwartych ust pokazała się piana.

Pisarz i kasyer pomogli kantorowi wynieść zemdlonego. Śpiewaczka wraz z naczelnikową szły naprzód w asystencyi doktora, naczelnika i prawnika.

W sali zapanowała grobowa cisza.

— Charcze, charcze...—półgłosem przemówił kasyer do zgromadzonych i znacząco podniósł do góry wskazujący palec.

Pomocnik, księża i leśniczy stali w milczeniu przy fortepianie.

Staruszek, proboszcz milowski, pierwszy wrócił do pokoju dla panów, aby wziąć płaszcz i kapelusz. Idąc z powrotem do sali, rzekł wietrowskiemu:

— Zajrzę tam, może się tam na co przydam.

— Ja zamiast was pójdę!—szybko odparł wietrowski ksiądz.

— O nie, nie, braciszku, nie! — i szybko wychodził.

Goście rozbili się w gromadki, okrążyli stoły i zaczynali znów rozmawiać.

Pomocnik skierował się ku muzykantom i w milczeniu zajął swe miejsce.

— No, i jest w tem choć odrobina sensu? — zaczął wyrzekać Adam. — Chory człowiek i dopiero

przychodzi tu, gdzie duszno, gorąco, nadymione i do tego jeszcze pije.

Młodzian potakująco głową kiwnął.

— Zaledwie mógł się na nogach utrzymać—dorzucił Pejszoch.

Pozdietyński proboszcz, ocierając pot z czoła, kierował się ku wyjściu z sali i, zrównawszy się z pomocnikiem, kiwnął na niego.

Czermak poszedł za księdzem.

Na oświetlonym placyku, między budowlami, stały gromadki ciekawych, patrzących w stronę oświetlonych okien kurhauzu.

— Ot, co znaczy przelęknięcie!... — zaczął proboszcz i, ująwszy pomocnika pod ramię, poszedł z nim wgłąb młodego brzozowego lasku.

Przez otwarte okna sali przedostawały się smugi światła, dymu i pary do małego lasku. W ciemności z po za splecionych gałęzi bieliły się wysmukłe pnie brzóz. Noc była ciemna, gwiaździsta, w powietrzu unosiła się orzeźwiająca wilgoć wraz z aromatem młodych liści i traw.

Proboszcz z pomocnikiem kroczyli po skraju lasu.

— Cóż ty powiesz na to? — zatrzymując się, spytał proboszcz z oczami utkwionemi w ziemię.

— Jeszcze i teraz drżę cały!... lepiejby było, gdybym nie śpiewał... akurat po śpiewie to się stało...— z pochyloną głową odpowiedział Czermak.

Proboszcz zamyślony potwierdził jego słowa.

— Nie zwracano na niego uwagi, przecież ledwie chodził i... pił przytem...—kończył Czermak.

— Wola Boga!... wola Boga!... teraz ją widzimy—wciąż, jakby do siebie mówił proboszcz.

Pomocnik milczał.

— Coś się stało... ktoś powiedział mu o czemś... zdaje się, pytał, kto pan jesteś...

Młodzieniec puścił rękę księdza i z zadziwieniem patrzył na niego.

— Nie lękaj się, Franciszku, nie lękaj—i ująwszy go za ręce, kończył proboszcz: — to... twój... ojciec!

Czermak wstrząsnął się cały i silnie westchnął.

— Karol Tarant, syn byłego naczelnika w Kościelcu, ja wiedziałem o tem i dlatego nie chciałem, abyś śpiewał...

— Na Boga... na Boga...—jęczał preceptor i silnie ściskał ręce księdza.

— Może przyjdzie do siebie—mówił ksiądz.

— Ale ja temu, wielebny panie, nic nie jestem winien!...

— W niczem... w niczem... taka wola Boska... Słuchaj, mój chłopcze, może chciałbyś z nim pomówić?

Pomocnik zamyślił się.

— Wszak on mnie nie zna...—brzmiała po chwili odpowiedź.

— Tak, on się pytał, kto to śpiewa... był wzburzony, podrażniony... i wtedy to przyszło...

— Pewnie z przelęknienia — z goryczą powiedział pomocnik.

— Zapewne, zapewne!

— Nie zna mnie i nie chciał mnie znać... przecież, wielebny panie, mówiliśmy o tem...

— Dobrze, dobrze, ja to wszystko rozumiem, ale pomimo to musiałem ci powiedzieć.

— To straszne, straszne!... gdyby matka widziała to wszystko... On dzieci nie ma? — spytał nagle Czermak.

— Ma dwie córki, lecz się go wyparły i on ich, dlatego, że żyje z tą śpiewaczką.

— To on żony niema?

— Nie, jest wdowcem...

— Więc i prawne dzieci nie przyznają się do niego...—mówił z goryczą sam do siebie preceptor.

— Dziwne są serca na świecie... dziwne... sprawiają tylko boleść...

Znów szli w milczeniu.

Z sali dolatywała głośna rozmowa, bliżej słychać było odgłos kroków po piasku i trawie.

— A gdyby on się przyznał do ciebie? — znów przemówił proboszcz.

— Nie przyzna się; przekonacie się, wielebny panie... kto o prawych dzieciach zapomina, ten mną się opiekować nie będzie. Chory był, roztkliwił się, a może i zląkł...

— Sumienie, sumienie!... gdyby się przyznał do ciebie, to zbliż się do niego; nawet w razie potrzeby ja z tobą pójdę; umierającemu trzeba przebaczyć! — mówił serdecznie proboszcz.

— Niechaj mu Bóg odpuści!... matka napewno mu przebaczyła, a ja... wszak nie znałem go wcale... zupełnie mi obcy...

— Dobrze... dobrze... dosyć jednego słowa...— i proboszcz objął młodzieńca.

Gdy wrócili do sali, tam znów było gwarno, lecz muzyka nie grała.

— Gdzieście chodzili?—przywitał ich kantor.

— Wyszliśmy z tego zadychu i... przelękliśmy się—odpowiedział proboszcz.

— Wierzę, ja również przeląkłem się; przecież on upadł tuż przy moich nogach. Przywlókł się, schwycił mnie za rękę i spytał o Czermaka... wtem śpiewaczka krzyknęła, a inspektor bęc na podłogę. Ja się tak przeląkłem, że nieprędko o tem zapomnę!

— Cóż z nim? jak mu jest?—pytał proboszcz?

— Oprzytomniał; oczy ma zamknięte i nic nie mówi. Bo rzeczywiście, jest tu sens: człowiek, który miał już atak, ledwie nogi wlecze i taki idzie na bal, weseli się i do tego pije jeszcze!... więc nic dziwnego!

W tej chwili podszedł do nich naczelnik.

— Bardzo ładnie pan śpiewał, bardzo — zwrócił się do pomocnika—szkoda, że zdarzył się taki fatalny

wypadek, ale, da Pan Bóg, to przejdzie; na dziś już wszystko skończone. Szkoda... szkoda!... A czy pan i na skrzypcach gra również?

— Na skrzypcach i na fortepianie — odpowiedział kantor za pomocnika.

— Bardzo dobrze, bardzo; szkoda, że to nie bliżej, bo przydałby się nam do kwartetu... teraz nam się nie udaje! Ale tego śpiewaka upokorzyliśmy, ani się nie odezwie!

— Niechaj widzi że i my tu coś potrafimy. Prawda, łaskawy panie, że była to ładna czeska kompozycya? — mówił kantor z chytrym uśmiechem, gładząc się pod brodę.

Naczelnik potwierdził.

— Takie rzeczy śpiewają na tych czeskich „besedach..."

Naczelnik już nic nie odrzekł.

Proboszcz znów był w swem księżem towarzystwie, nic już nie pili, tylko gawędzili z sobą.

— Zupełnie, jakbyście przeczuli nieszczęście... — prawił ksiądz Chwala.

— Bałem się o Czermaczka mego; bo, proszę panów, takie tu liczne zebranie, młodzieniec jeszcze z tem nieobyty, bojaźliwy, jak jagnię — przytem proboszcz zajrzał do tabakierki.

— Bardzo ładnie śpiewał — dodał milowski z iskrą w oczach.

— Pięknie, ładnie, przepięknie — oceniał proboszcz wietrowski.

— Ale, szanowni panowie bracia, jakto wzniośle, że na pierwszej zabawie za rządów nowego właściciela zabrzmiał już śpiew czeski i do tego jaki jeszcze!... Może przecież Bóg miłosierny nie opuści Czechów, przebaczy im, jeżeli się gniewał na nich! — mówił staruszek i radość mu pałała z każdej zmarszczki na twarzy.

— Ba, przedtem ten sam naczelnik nie pozwoliłby na coś podobnego, ale teraz ci panowie miękną jakoś, to widzimy i czujemy wszyscy — zaśmiał się ksiądz Chwala.

— Tyś tego dokazał, szanowny bracie! Niechaj ci Bóg zato wynagrodzi! Ach! jaka szkoda, jaka szkoda, żem, ot teraz dopiero nie w młodzieńczym wieku—i staruszek ściskał rękę księdza Chwali!

Goście coraz bardziej przerzedzali się.

Muzykanci drzemali, ale nie odchodzili jeszcze, aby im nie robiono wymówek.

W końcu do sali wciskać się zaczęli mniejsi urzędnicy gospodarstwa, czeladź, dziewki, by dopić i dojeść resztki z kolacyi. Wszyscy żałowali, że zabawę przerwał niepotrzebnie ten nieszczęśliwy wypadek i że obecnie nie uda się im trochę potańczyć. Muzykanci zaś byli z tego zadowoleni.

W chwili pożegnania się urzędników z księżmi nadszedł i doktór, by powiedzieć swej żonie, że zostanie na miejscu dłużej, gdyż jest potrzebny.

Wszyscy obstąpili go, jak mrówki, zarzucając pytaniami o chorego.

— Trochę się zdrzemnął—odpowiadał doktór.

— A czy już mówi, mówi?

— Nie mówi, może jednak mówić, powiedział tylko, że chce wracać do Pragi...

— O, więc niema nic niebezpiecznego! — zawyrokowała pani naczelnikowa.

— Franciszek miał racyę!—słysząc to, pomyślał proboszcz.—Dziwne serca mają ludzie... przedziwne...

Milowski proboszcz wybierał się z urzędnikami z zamku, na wietrowskiego czekały konie, pozdietyński zaś szedł na piechotę z kantorami.

— Dawno już, szanowni bracia, tak późno nie powracałem do domu, pewno to już i ostatni raz—całując się z księżmi, mówił ze łzami staruszek.

Kiedy kantorzy razem z proboszczem weszli

w las, przepełniony balsamiczną wonią, proboszcz odezwał się do Czermaka:

— Miałeś racyę, Franciszku...

— A co się takiego stało?—spytał kantor.

— Czy wszystko, Franciszku, mogę opowiedzieć panu nauczycielowi? czy wszystko?...

— Panu nauczycielowi wszystko może pan powiedzieć!—spokojnie odparł Czermak.

— Ale to zostanie między nami!

I proboszcz, wymachując laską, zaczął detalicznie opowiadać.

Niebo było wciąż wyiskrzone. Lasy stały zwartą ciemną ścianą; ciszę naruszał szmer kłosów w polach, lub ćwierk przebudzonego ze snu świerszcza, który ćwierknąwszy parę razy, znów milknął.

Po chwili z za lasu dolatywała ich uszu piosenka; był to głos Adama Hejna.

Nocny stróż w Milowie wytrąbił drugą po północy.

* * *

Na trzeci dzień wiedzieli już w Pozdietynie, że praska dama odwiozła chorego inspektora do Pragi dla lepszego dozoru i pomocy lekarskiej. W trzy tygodnie potem ksiądz proboszcz przyniósł wiadomość do szkoły, że i prazcy lekarze nic pomódz nie mogli i że inspektora już pochowano.

Gdy pomocnik o tem usłyszał, zaczął w zamyśleniu patrzeć w okno, a oczy jego nabrały dziwnego blasku.

W ostatnich czasach zbladł i schudł bardzo.

Nieraz kantor mówił z żoną i wyrzucał sobie, że niepotrzebnie wtedy na balu namawiał go, a nawet i zmuszał do śpiewu, że gdyby nie ten śpiew, uniknęłoby się wszystkiego.

Proboszcz zaś uspakajał:

— Dla pomocnika daleko lepiej, że o wszyst-

kiem się dowiedział, nie będzie się już tak dręczyć. Ów Tarant i bez tego nie żyłby długo, a widać, że sam Bóg tak chciał, aby się oni jeszcze zeszli.

Studenci mieli już wakacye, więc nauczyciel, mając swego Wacława do pomocy, dał urlop pomocnikowi na odwiedzenie swej babki.

Ta wizyta dobrze podziałała na preceptora. Ze świeżemi siłami i raźniejszy wrócił ztamtąd.

Ze studentem wciąż uczyli się, czytywali razem, zbierali owady, rośliny, chodzili na grzyby; mówili sobie o nauczycielach, lub dysputowali o przeczytanych książkach.

Pewnego razu wpadł szybko proboszcz do szkoły i spytał:

— Chłopcy, cóż wy na to, gdybyśmy tak na św. Wacława wpadli do naszej Pragi?!—z uśmiechem na twarzy patrzył na nich badawczo i czekał, co powie na to kantor.

— Toby było możebne!—odrzekł kantor.

— Cóż ty na to, Franciszku?

— Czy ta przyjemność nie będzie drogo kosztować? Wszak, wielebny panie, dobrze wiecie, że z ochotą wyruszyłbym... na to już zbieram pieniądze! — odpowiedział jednym tchem Czermak i aż oczy mu się śmiały na samą myśl o tej wyprawie.

Kantor z wesołością na twarzy wydostał tabakierkę i poczęstował obecnych, sam również dobrą wziął porcyę.

Od tej chwili mówili tylko o Pradze, pomocnik nie mógł się doczekać tego dnia. Cieszył się niezmiernie, że zobaczy Albinę i odwiedzi grób matki...

XVI.

Pieniądze, scyzoryk, zegarek, laska, chustka, tabakierka... wszystko mam—mówił do siebie proboszcz, opatrując kieszenie.

— Wszystko w porządku, wielebny panie, już proszę się o nic nie troszczyć; w Pradze proszę nie pomylić się i pamiętać, że ten biały koszyk dla Albinki, bronzowy zaś dla profesorowej, aby się z tem dzieckiem lepiej obchodziła—napominała Pepiczka.

— Dobrze, dobrze; tylko opatrzcie wszystko doskonale; niechaj Dolejsz nic nie zapomni.

Już stali na progu plebanii.

Była kompletna noc, całe niebo gwiazdami usiane.

— A więc, z Bogiem! zostańcie z Panem Bogiem!... już wyruszamy!

Pepiczka odprowadziła proboszcza do szkoły.

Proboszcz ubrał się w długi po kolana surdut, na głowie miał szeroki z płaskiem dnem, kastorowy kapelusz, a na nogach starannie wyczyszczone buty.

— Hrk-bim! hrk-him! — odzywał się dzwon na wieży kościoła, której wierzchołek tonął w ciemnościach.

— Już druga godzina... mamy iść kawałek; czas więc w drogę, aby na czas być w Turnowie!

— Proszę tylko nie zamoczyć się, a to wróci ksiądz do domu z jaką chorobą.

Przed szkołą panował ruch; gwar dochodził aż do cmentarza.

— Czekacie, chłopcy, czekacie? — wołał ksiądz, schodząc z wzgórka.

Na szkolnem podwórzu czerniały cztery figury: jedna większa, druga mniejsza.

— Księże dobrodzieju, wszystko już w porządku, czekamy. Żegnam cię, Tono, żegnam, Wacławie, a pamiętaj dobrze się wywiązać z zadania na chórze— mówił przy rozstaniu kantor, przyczem słychać było odgłosy pocałunków.

— Do widzenia z panią!

— Do zobaczenia, panie nauczycielu, szczęśliwej podróży; Albinkę proszę pozdrowić odemnie—dodała szeptem.

— Wracajcie zdrowi, żebyście nam mogli wszystko opowiedzieć. Niechże proboszcz nie zapomni o tych koszykach.

— Dobrze, dobrze, zostajcie z Bogiem!

Proboszcz Stehlik, kantor Czyżek, pomocnik Czermak wyszli na drogę, prowadzącą do Pragi.

Pepiczka wcześniej oddała kosze furmanowi wietrowskiemu, który wybrał się również na odpust.

Ogromna mgła zasłaniała całkiem lasy i góry. Chaty i baraki stały martwe, w niczem niezamąconej ciszy, przerywanej tylko stąpaniem podróżnych, szumem potoku i jednostajnym turkotem młyna Żalakowej.

— Będziemy mieć noc prześliczną: niebo gwiazd pełne, ani jednej chmurki—mówił kantor.

Proboszcz, przygarbiony, szedł i wciąż szeptał:—Myślę i myślę nad tem, czym też ja czego nie zapomniał.

— Przecież nie idziemy do Pragi na wieczne czasy, a zresztą, choćby się i czego zapomniało, to

nic nie szkodzi, jeśli tylko pieniądze są w kieszeni— uspakajał nauczyciel, wymachując laską w powietrzu.

— Skoro wyjdę z domu, całą głowę przepełnioną mam niepokojem i myślę o tem, czy się coś złego w nim nie stanie.

— Niech ksiądz proboszcz rozpędzi je na cztery wiatry; teraz idziemy do Pragi, więc musimy być swobodni, jako ptaki. Przecież Pepiczka z Dolejszem dopilnują wszystkiego, a ten młody ksiądz zajmie się razem z moim Wacławem kościołem, to i chwała Bogu nie ucierpi, szkołą się też zaopiekują.

Pomocnik szedł w milczeniu. Tak bardzo cieszył się tą drogą i już się ona urzeczywistnia — droga do grobu matki i do Albiny. Najświętsze cele na tym świecie!...

Najpierw uklęknie przy mogile matczynej, a potem ujrzy ukochaną dziewczynę, której nie widział przez pięć blizko miesięcy. Czy się i ona ucieszy? W swoich listach była zawsze równie serdeczną, ale kto wie, czy się nie zmieniła... Czy się zadziwi, gdy przed nią stanie? Czy też przemieniła się w miejską panienkę? Pewnie zapomniała, jak to wygląda pomocnik z gór, ale jak też on będzie wyglądał w tej Pradze, gdzie taki przepych, gdzie tylu szykownych kawalerów, ile w jesieni szpaków na łąkach?

Wystroił się w najparadniejsze ubranie; sam kantor zwracał mu nawet uwagę, ażeby nie kładł nowych spodni i kamizelki kupionej — w Pradze jednak inny szyk. Tam chodzą we frakach, według najnowszej mody skrojonych, noszą odmienne kapelusze od jego prostego kastoru, wytartego porządnie; i laski mają nie takie, jak jego sękaty kij, po który chodził umyślnie z panem kantorem do lasu.

Powietrze było przyjemne, bo chłodne i pełne balsamicznej woni z łąk i pól zaoranych.

Koło Wietrowa rozchodził się zapach spalenizny; kopacze kartofli palili wczoraj ogniska i piekli mączy-

ste ziemniaki. Drożyny, wijące się w dolinach, witały podróżnych echem nawoływań się stróżów nocnych.

O trzeciej po północy z za lasu ukazał się momentalnie sierp księżyca i swem bladem, subtelnem światłem oblał górzysty krajobraz. W lesie znów było zupełnie ciemno, bieliła się jeno piaszczysta droga, z dolin zaś dolatywały przerywane odgłosy dzwonów, wzywających na ranne nabożeństwo.

Kumburk, Tabór, Kozaków zaczęły się już pomału wyłaniać i szarzeć, jak w głębinach morskich dno, porosłe wodorostami. Pod sierpem księżyca, nad lasami gór Karkonoszskich, ukazał się matowo-srebrny pas, który z każdą chwilą rozszerzał się i rozlewał po całym firmamencie.

Ciemny szafir nieba zaczął blednąć, gwiazdy chowały się ze wstydem, srebrne światło księżyca gasło powoli.

Biała smuga nad lasem mieniła się od złotej, pomarańczowej barwy do koloru rozpalonego metalu, krwawego potoku, roztopionej lawy, wypływającej z głębokiego krateru. Niebieskawe i fioletowe opary wyłoniły się nad lasami, ciemność uciekała na zachód, pozostawiając miejsce rozlewającemu się coraz więcej światłu ze wschodu. Szaro-siwe i purpurowe mgły unosiły się, nad górami podnosiła się mglista opona, ukazując wspaniałą dekoracyę olbrzymiego karkonoszskiego teatru.

Około godziny szóstej kantor rzekł do towarzyszów:

— Zatrzymajmy się, jesteśmy obecnie na granicy, ztąd jeszcze raz rzućmy okiem na nasze góry, gdybyśmy już nie wracali tędy, nie zobaczymy ich więcej!

Obejrzeli wszystkie pasma gór od Kozakowa ku Śnieżce i od Jesztadu aż hen, hen do gór Orlickich.

Wschód słońca był krwawy, ognisty, lasy mieniły się wszystkiemi barwami od najjaśniejszej zieloności aż do ciemno-szafiru, a w dali widniały, jak mgły ulotne. Pochyłości gór były upstrzone czerwonemi i białemi polankami, bronzowemi pasmami i żółto-zielonemi łąkami.

Rozrzucone po pochyłościach i dolinach wsie już widniały, bieląc się zdaleka; nad strzechami zaczęły się chwiać kłęby białego dymu.

— A teraz do innego kraju! — zawołał pan kantor.

Wkrótce rozlała się przed nimi iczyńsko-turnowska dolina, oblamowana zdaleka siwym, szerokim Zwiczynem i Chlumami, bliżej zaś Weliszem, Lorettą, Św. Anną, Prachowskiemi Skałami i Grubą Skałą z Waldsztynem; za nim kapliczka wiszkierska uwydatniała się na tle wschodu, naprzeciw wznosił się Kumburk, otoczony ciemnemi borami, Kozłów i Tabor, w głębi zaś tej pięknej doliny ukazał się na wschodniej stronie szary, wysoki Zebin, w środku dwuwieżne czarne Trosky. Na zachodzie cała dolina była odkryta, a na niej gdzieniegdzie tylko ciemniały małe pagórki.

Wierzchołki lasów, szczyty wszystkich gór oświetlone były pierwszemi promieniami słońca. W uroczej dolinie od Libunky do Izery rozchodził się dzwon, wzywający na poranną modlitwę.

W Turnowie odpoczęli nasi podróżni i przyprowadzili do porządku swe obuwie, zanieczyszczone przez rosę, kurz, piasek i kamienistą drogę. Już przed ósmą przyjechał dyliżans z Liberca i podróżni wsiedli do pojazdu, przypominającego bardzo przedpotopową arkę, zaprzężoną w dwa rosłe, kasztanowate konie, które wkrótce ciągnęły ją po szosie, wysadzonej śliwami, pełnemi dojrzewającego owocu.

W ciasnym, dusznym dyliżansie siedziało jeszcze pięciu pasażerów: egzekutor z Turnowa, strażak z Bukowiny, który miał stawać do wojska, a obecnie kra-

jący wolno kawałek twardego chleba, woźnica hrabiego Klama, jakiś Niemiec, śpiący i chrapiący w okrutny sposób, czem wzbudzał śmiech ogólny, wreszcie krawiec Kadleczek, który nie przestawał rozmawiać. Siedział skurczony obok Niemca, że go ledwie można było widzieć. Czapkę wsunął na tył głowy, z pod niej wychodziły proste, jak druty, włosy; czoło miał pomarszczone, nos wielki, a oczy maleńkie, ruchliwe.

— Nie mamy deszczu i nie mamy — mruczał ostrym głosem. — Już od pięciu miesięcy deszcz nie padał u nas, a w Rosyi leje podobno bezustanku. U nas susza wszystko wypaliła, tam wszystko gnije od wilgoci. A przecież to jeden świat i jednego ma Pana nad sobą!

Chwilę milczał, lecz znów zaczął:

— Nie może mi się w głowie pomieścić, że między nami żyda niema, choć co prawda ten Niemiec kiwa się, jak rabin. Gdziekolwiek się przyjdzie, wszędzie się żyda spotka, tylko my go teraz nie mamy za towarzysza.

Proboszcz, wychyliwszy się przez okienko, zwrócił się do sąsiadów pozdietyńskich:

— Czyż to nie przypomina doliny Elońskiej? Małe kościołki, wioski z białemi chatami, modre lasy, zielone łąki, stada owiec, czyż to wszystko nie jest prześliczne? Toż kraina mlekiem i miodem płynąca, a jaka bogata w ryby i lasy!

— Ale cudzoziemiec stawia stopę na skroni ludu Bożego i ten się poruszać nie może—z goryczą zawołał kantor.

— Przestań, przestań, bracie; chyba nie chcesz, aby twój naród szukał ziemi obiecanej, przecież jest w domu, u siebie, czyż nie tak?

— Tak, jest u siebie, ale mu gorzej, niż na cudzym chlebie...

— Już narzekasz? Przyjacielu, wszak idziesz do Pragi, między swych współbraci, patryotów czeskich.

W Mnichowle był dłuższy odpoczynek; wszyscy wysiedli z czterokołowej łodzi, prócz Niemca, drzemiącego bezustannie. Krawiec pobiegł do przekupki, by kupić kilka gruszek, egzekutor kroczył poważnie ku miastu, rekrut poszedł po bułki, a reszta podróżnych udała się do gospody na piwo.

Kiedy siadali napowrót do dylżansu, zjawił się młodzieniec w nankinowem ubraniu, cylindrze na głowie. Włosy miał czarne, kręcone; w jednej ręce trzymał zapalone cygaro, drugą gładził swą rzadką brodę.

— Otóż go macie!—zwrócił się woźnica hrabiego do krawca.

— Wiedziałem, że przyjdzie—odparł Kadleczek i rozpoczął rozmowę o żydach.

Obaj z woźnicą wyciągali jednę historyę za drugą, opowiadając o oszukaństwie żydów, o pogardzie dla nich.

Młodzik siedział, niby obojętny, palił cygaro i zdawał się nic nie słyszeć, ale oczy błyskały mu gniewem i nogę na nogę nerwowo zakładał.

Podróżni pozdietyńscy, wyglądając przez okno, śmieli się pocichu.

Pasażerowie uczuwali już zmęczenie, nogi im pocierpły, w gardle zaschło zupełnie. Słońce silnie paliło, podnosiły się tumany kurzu, konie jednostajnie stąpały, wóz się toczył miarowo; więc wszyscy zaczęli drzemać.

— Za osiem, dziewięć godzin będziemy w Pradze, cieszcie się, chłopcy! — cicho zaśmiał się proboszcz.

— A może zabłądzimy? — dodał wesoło pomocnik.

— Nie lękaj się, Franciszku, mam dobrą pamięć i trafię, choć przed dwudziestu laty tu byłem. No, miasto piękne, rozkoszne, lecz niemieckie. Wprost Babilońskie.

Na przeciwległej wyżynie ukazały się wieżyce Bolesławia, a w prawo, nad doliną izerską widniały stare Michałowice z wysoką, szarą Putną.

W Bolesławiu był obiad. Nauczyciele z proboszczem usiedli przy stole, białym obrusem nakrytym, a wygadany służący, przypominający arlekina, podał im kartkę ze spisem potraw.

— Z takiego welinowego papieru jeszczem też obiadu nie wybierał, a toby się moja Tona przypatrywała — śmiał się kantor, kręcąc wąsy.

— Wszystko, wszystko jest, ale piekielnie drogie — wskazując palcem, mówił proboszcz.

Przy krajaniu mięsa kantor zauważył:

— Do takiego cienkiego kawałka potrzebna stal damasceńska, toż liść osikowy grubszy od tej porcyi mięsa.

— I ogórki na jeden kęs wystarczą — dorzucił proboszcz.

— Zato piwo... ah, bracia, toż rosa niebieska.

Pan kantor, wychyliwszy pół kufla, odetchnął z zadowoleniem.

Po mięsie każdy z nich zjadł dwie bułki, ksiądz z pryncypałem wypili po dwie szklanice piwa, pomocnik jednę, zapłacili i popędzili do dyliżansu. Było ogromnie gorąco, pot lał im się z czoła.

Arka przypominała znów beczkę ze śledziami. Siedziało w niej dwóch panów, którzy zdjęli surduty i kamizelki, a palili tak, że dym z ust wychodził, jak z komina przed odpustem. Po twarzy ciekły strugi potu, każdy ważył najmniej po dwa centnary. Prócz tych kominów, siedziały dwie młode, o ile można było dojrzeć w ciemności, piękne panienki. Były ubrane po miejsku: w dużych słomkowych kapeluszach, z ogromnemi kokardami, w wykrochmalonych i rurkowanych sukniach. Mówiły z sobą to po czesku, to po niemiecku. Chusteczkami obcierały spocone czoła, kaszlały,

spoglądały litościwie na palaczy, ale napróżno, nie przestawali dymić.

Proboszcz szepnął kantorowi, że wartoby zwrócić tym panom uwagę, aby przez wzgląd na panienki nie palili, lecz tenże odpowiedział:

— Te młode sroki już dwoma językami paplają, to niech teraz pocierpią, to Bóg je karze.

Dla powiększenia owej kary boskiej zapalił papierosa i woźnica hrabski, z dyliżansu więc wychodziły takie kłęby, jak z maszyny parowej.

Jeden z grubych jegomościów zauważył żartobliwie:

— Doprawdy, my jedziemy pewnie tym pociągiem, który w zeszłym roku puszczono w Pradze na pokaz.

Drugi mruknął, jak niedźwiedź w jaskini, i silniej jeszcze palił.

— Podobno jeździ taki pociąg z Lipska do Berlina; piekarze układają w niego chleb prosto z pieca, który nie wystyga naturalnie przez całą drogę — dodał znów pierwszy.

Drugi śmiał się tak serdecznie, że się aż ławka zatrzęsła.

— Toż mają uciechę—wtrącił kantor.

W Bienatkach przemieniali konie, ale te świeże były więcej zbiedzone, niż te, co szły na odpoczynek. Nogi miały pokaleczone, boki pozapadane, smutnemi też oczami wpatrywały się w dyliżans, kiedy je do dyszla prowadzono.

— Mili bracia, nam nie jest lepiej! — ze śmiechem zauważył nauczyciel.

— Cicho bądźcie, chłopcy, o czwartej staniemy w Brandysie, a przed Pragą wysiądziemy, żeby kości wyprostować. Toż będzie rajska podróż. Jako wyznawcy fałszywego proroka do Mekki, tak dwaj nauczyciele ze starym proboszczem dążyć będą do miasta Lubuszy!

Panienki, odurzone dymem, zaczęły drzemać, wreszcie zasnęły na dobre. Jedna z nich coraz bardziej pochylała się ku ramieniu chrapiącego tłuściocha, na którego twarzy odmalowała się wtedy prawdziwa rozpacz.

Niebo wciąż było błękitne, niby niezapominajki, upał jednak zmniejszył się trochę, a z lasu brandyjskiego do tego komina dyliżansowego dochodził świeży powiew wiatru.

Między jasno-zielonemi grabami, między bukami, o liściach z metalicznym jakby połyskiem, ciemniały dęby i klony.

W miejscach, oświetlanych promieniami słońca, wśród zeschniętego mchu i rozchodnika wyrastał ogromny badyl wilczego łyka. Nad nim fruwały niebieskie motyle.

Konie jednostajnie uderzały kopytami, dyliżans dudnił monotonnie, woźnica trzaskał z bicza, popędzając z przyzwyczajenia swe rumaki.

Za Brandyskim zamkiem wyłoniły się białe, jak skrzydła łabędzi, obłoki. W dali za pstremi polami, zielonemi borami stały iglaste lasy, pokryte fioletową zasłoną. Z okien niewielkich budynków ukazały się nagle czerwonawe odbłyski światła.

— Poczekaj, poczekaj, chłopcze! — wołał proboszcz na furmana, podjeżdżającego na wzgórek Libni—my teraz wysiądziemy.

Arka stanęła, trzej podróżni wyszli.

— Cóż to panowie nie wejdą znów?—pytał woźnica, nie wypuszczając z ust swej fajeczki.

— My, bracie, pieszo już dojdziemy, chcemy się bowiem lepiej przypatrzeć Pradze.

— Że się też panom chce iść, kiedy jechać mogą—mruczał zdziwiony.

W dyliżansie rozległ się głośny śmiech.

Trójka podróżnych ustawiła się porządnie, po-

prawiła odzież, obtarła pot z czoła i zabierała do drogi.

Arka ruszyła, a monotonny turkot kół i odgłos kopyt końskich wkrótce ucichł zupełnie.

— Ot, widzę przed nami miasto, którego sława gwiazd sięga!—nagle przemówił kapłan.

Wpatrzony w przestrzeń, z rękoma w górę podniesionemi, z natchnionym wyrazem twarzy, rozjaśnionej uśmiechem wielkiego zadowolenia, czynił wrażenie proroka.

Nauczyciele stali oczarowani. Przed nimi rozciągała się ta wspaniała, upragniona Praga. Ciemnobłękitny horyzont oblewał ją od Żiżkowa do Strachowa, nad którym błyszczało zachodzące słońce.

W tym pełnym blasku bogatych fal świetlanych stał ciemny kościół, którego wieża rzucała naokoło zielonawy odblask, sam zaś był pełen majestatu, ponury, ciemny i ostro uwydatniający się na jasnem, świetlanem tle.

Wszystkie oczy były ku niemu zwrócone.

— Jaki to kościół? — nie odrywając od niego wzroku, spytał pomocnik, w dal wskazując.

— Kościół św. Wita, mauzoleum czeskiej sławy, nadejdzie czas i on zajaśnieje całą swą pięknością. Naokoło to zamek królewski, pamiątka po królach: Karolu, Władysławie i Rudolfie! — jakby z kazalnicy wyjaśniał proboszcz.

W promieniach gorejącego słońca kąpały się pochyłości Petrzyna, ogród królewski i Belweder, których zieloność jakby wieńczyła oświetlony ołtarz Hradczan razem z tabernaculum, św. Witem i rozlewała się gdzieś w przestworzach.

Ogniste potoki spływały coraz głębiej, błękit coraz bardziej się rozszerzał, wreszcie dachy wieży kościoła św. Wita zaczęły szarzeć, aż w końcu zaczerniały zupełnie.

Ściany kościoła, popielate wieże św. Jerzego,

bronzowe ściany zamku, wreszcie dachy na różnych przybudówkach coraz więcej czerniały, przybierając kształty olbrzymich ruin, na które spływała z góry przezrocza niebieska zasłona.

— Kto raz to widział, do śmierci nie zapomni— mówił proboszcz ze łzami w oczach.

— Coś olbrzymiego, coś wspaniałego — dorzucił kantor—coś przypominającego fata-morganę na pustyni. Naczytałem się o tem, przedstawiałem sobie w wyobraźni te wszystkie piękności, lecz to, co widzę, przeszło moje oczekiwanie!

— A cała Praga... tylko się przypatrzcie, jak się pięknie przedstawia na tle lazuru!... — drżącym głosem ciągnął dalej kapłan, i trzymając w jednej ręce kapelusz, w drugiej laskę, wpijał oczy w to morze domów, wież, których szczyty, grzbiety, przystawki, wieżyczki i nisze odbijały różowawe światło zachodzącego słońca, z południa jednak płynęły już szare chmury, pomieszane z kłębami dymu i pary.

— Spojrzyjcie na dwie wieże kościoła tyńskiego, zarysowującego się tak doskonale na błękicie nieba. Czyż, patrząc na nie, można nie przypominać sobie owych starych kronik, w skórę oprawnych, nad któremi płakano w chałupach czeskich?

Te dwie czarne, starożytne wieże stały początkowo nieruchomo i mocno się odcinały od całego tła, potem jakby się podniosły, jakby wyrastały coraz wyżej i chciały przebić błękity; mrok stawał się wyraźniejszy.

— Gdzie się podziały te czasy, w których król Jerzy chadzał tam na kazania mistrza Rokicany?... Boże, Boże! jakżeśmy się zaniedbali!—zawołał kantor z goryczą.

Stał o laskę oparty, w Pragę zapatrzony.

— Chodźmy, przyjaciele, chodźmy; cały ten zamglony nieco, lecz przepiękny obraz posuwać się bę-

dzie przed nami. Czy widzisz, Franciszku, co nasi praojcowie już mieli i co zrobili?

— Wprost nie wierzę własnym oczom. Gdyby nie te kłęby dymu i pary, wziąłbym wszystko za złudzenie fantastyczne—mówił pomocnik.

— Jutro, pojutrze jeszcze więcej cudów zobaczycie. Czy słyszycie szum Wełtawy?

Szli dalej: proboszcz w środku, kantor z prawej, preceptor z lewej strony. Ksiądz był z nich najniższy; wymachiwał energicznie swą wielką laską.

Kiedy minęli dom inwalidów, pomocnik, rozglądając się uważnie, zapytał:

— Czy ztąd jest daleko cmentarz Olszański?

— Tam za wzgórzem—wskazał proboszcz laską tak blisko, że aż powietrze świsnęło.—Teraz jesteśmy w Karlinie [1]); dawniej było tu pole szpitalne, na niem obozowało olbrzymie wojsko niecnej pamięci króla Zygmunta, które nasz sławny jednooki Żyżka pobił zupełnie pod tą ciemną górą. Pierwej nazywała się Witkowem, obecnie zaś Żyżkowem— objaśniał kapłan.

Nad ciemną, rozłożystą górą, na błękitnem niebie świeciła ogromna, jaskrawa gwiazda.

Na głównej, jeszcze nierówno zabudowanej ulicy, szły małe wózki, na których siedzące mleczarki popędzały duże, kudłate psy, ciągnące ciężary z prawdziwym wysiłkiem, dalej postępowały gromadki robotników, wracających z fabryk.

Przed hotelami „U miasta Pardubice", „Lipska", „Hamburga", płonęły różnokolorowe latarnie, stali przekupnie z parówkami i preclami. Przy bramach siedziały młode i stare kobiety, niedbale ubrane, w piasku bawiły się ubrudzone, hałaśliwe dzieci.

— Ot, jesteśmy już w samej Pradze! — zawołał

---

[1]) Przedmieście Pragi.

proboszcz, skoro przez bramę doszli na Porzecze. — No, uważajcie chłopcy, trzymajmy się razem, gdyż się możemy zabłąkać.

Przy żółtawem świetle latarni przejeżdżały powozy, dudniały ciężkie wozy i rozlegał się szum ludzkich głosów.

— Tu smutno jakoś człowiekowi — rzekł nauczyciel.

Pomocnik myślał o Albinie. Zastanawiając się nad tem, w jakim ona gwarze i chaosie żyje, omało nie stracił z oczu swych towarzyszów.

— Oto plac Józefiński, za chwilę będziemy na Przykopach, gdzie się znajdują „Trzy karpie" [1]), które nas przyjmą pod swą opiekę. Czy chcecie już zasiąść do praskiego nektaru, czy też macie jeszcze siły do dalszej wędrówki?

— Chodźmy dalej, dalej; przypatrzmy się Pradze w nocy. Policyantów, jak widzę, jest dosyć, to możemy być spokojni, że nas nie okradną — dodał kantor żartobliwie.

Szli prędko, ale trudno im było nieraz przecisnąć się przez tłumy, omijać powozy. Spotykali oni urzędników w okularach, w galowych mundurach, stare kobiety w chustkach na głowie, panie i panienki w szerokich sukniach, pełnych zakładek, z rękawami bufiastemi, w ogromnych kapeluszach słomkowych, albo w czepkach, do czoła przylegających, kokardami i kwiatami przyozdobionych, z pod których opadały na skroń aż do uszu pukle ufryzowanych włosów. Spotykali przeróżnych modnisiów w długich frakach, szerokich spodniach, nizkich kapeluszach z podniesionem rondem.

— Przyjaciele moi, czyż my naprawdę jesteśmy już w Pradze?—pytał poważnie kantor.

---

[1]) Jeden z najtańszych hoteli w Pradze.

— Słucham, nasłuchuję i tylko słyszę niemczyznę—dodał pomocnik.

— Wszystkie szyldy, napisy, wyłącznie w języku niemieckim—przyświadczył nauczyciel.

Proboszcz milczał; laskę wsunął pod pachę, wyjął tabakierkę i zażywał tabakę nerwowo, wreszcie zawołał z gniewem:

— „Opuścili mnie ojcowie, poszli za cudzymi bogami, im służą, im się kłaniają", macie racyę, bracia.

Z olejnych lamp w latarniach padało migotliwe, jakby zapłakane światło. Horyzont pociemniał, gwiazd ani śladu.

— Jesteśmy teraz nad Wełtawą, oto nowy, żelazny most, a tam nasz stary kamienny — objaśniał proboszcz, wskazując laską.

Powierzchnia Wełtawy była prawie czarna, ale błyszcząca; żółte światła na moście Karola odbijały się w rzece, tworząc długie, drgające pasy; między niemi, pod olbrzymiemi sklepieniami, rozkładała się gładka tafla wód, a w górze, w ciemności, widniały grupy posągów.

Na zachodzie było zupełnie szaro: zamek i góra Petryn zapadały w mroku, nie widać tam było najmniejszego światełka. Na wieżach i w domach Małej strony [1]), światła, rzucające długie smugi, zaczęły gasnąć.

Wełtawa, płynąc spokojnie, szumiała jednostajnie; na moście migały się sylwetki przechodniów, słychać było gwar mowy.

Stare topole na Barwirzskiej i Strzeleckiej wyspie, jak również i wierzchołki drzew na nowym pobrzeżu, stały bez ruchu.

— Pięknie... przepięknie... wspaniale... pysznie,

---

[1]) Część stara Pragi na lewym brzegu Wełtawy.

ale smutno, bardzo smutno — szepnął proboszcz, łzy ocierając.

Mgła tak się zwiększała, że wszystko w niej tonęło.

Na kilku wieżach Małej strony zaczęto dzwonić.

— Uważajcie, bracia, kiedy zabrzmią w Pradze dzwony, dzwonią przez pół godziny, a każdy odmienne ma tony—objaśniał proboszcz.

I rzeczywiście, ze wszystkich stron rozlegały się głosy małych, większych i wielkich dzwonów, które po chwili połączyły się w jeden potężny akord, unoszący się nad Pragą.

— A co one mówią, co powiadają? One przecież pamiętają inne, lepsze czasy — westchnął kantor.

— Naturalnie, pamiętają. Co mówią? Boleją... proszą... napominają: powiedzcie ludziom, którzy mają lękliwie serca, ażeby się nie bali, ażeby się pokrzepiali!...

Przy dźwięku dzwonów powracali przez Nowe aleje.

*

* *

Po siódmej rano wychodzili nazajutrz z hotelu; z nimi szedł mały, kołyszący się na schodach staruszek, w futrzanej czapce, mocno na czoło nasuniętej, w wiejskim stroju; w obu rękach niósł koszyk.

— Czy to tylko nie zawcześnie, księże dobrodzieju?—zapytał kantor.

— Czy nie wczas? Być może. Czyż my znamy praskie zwyczaje, wszystko tu na wywrót. Jeśli się będą gniewać, że hałasujemy, to widok koszyka, zaręczam, udobrucha ich zupełnie. Czyż warto było zostawać tu dłużej? Wszak spać nie było można. Od

trzeciej stukali do drzwi, a omnibusy dudniały po ulicy, aż w uszach bębniło. Głowa mi pęka z tego hałasu.

Na Owocowy targ, mój ojcze, pod Nr. 396 — zwrócił się proboszcz do wieśniaka.

Wszystkim trzem oczy jakoś powpadały, na policzkach mieli wypieki zmęczenia.

Na targu Owocowym roili się ludziska, niby pszczoły w ulu. Ogromne parasole płócienne zakrywały przekupniów, głośno się targujących; dokoła panował gwar, chaos przeraźliwy. Leżące na straganach owoce: złote gruszki, czerwone jabłka, aksamitne brzoskwinie, ogromne śliwki, rozlewały miłą woń...

Wieśniak zatrzymał się i wskazał numer domu.

— Poczekajcie, bracia, nie oddalajcie się ztąd— rozkazywał proboszcz i zniknął z tragarzem w wielkiej bramie.

Nauczyciele, stanąwszy przy wejściu, przypatrywali się ciekawie temu mrowisku ludzi.

— No, teraz słyszymy przynajmniej naszą mowę. Wiesz, wczoraj byłbym uciekł chętnie do domu. Taki mnie żal ogarnął, taka tęsknota za naszą wioską, że wypowiedzieć mi trudno.

Na ulicy, w hotelu, wszędzie Niemcy, jeno ci w wiejskich strojach, o spracowanych rękach, mówili przyrodzonym im językiem, tu wszędzie go słyszymy, nie tylko w ustach przekupek, lecz i dam strojnych, a jak go mile wymawiają! I nie dziw, boć przecież to Czeszki, ale przyzwyczaiły się paplać, kłamać.

Pomocnik słuchał, nie myśląc o tem. Zastanawiał się, że w tym starym, opuszczonym domu, mieszka już od czterech przeszło miesięcy jego biedna Albinka. Pewno nawet ulicy nie widuje, a patrzy się wciąż na to brudne podwórze...

Co też powiedziała, gdy wszedł proboszcz? Czy

już wstała, czy jej profesorowa pozwoli wyjść z niemi na miasto?

— Cóż to jest?—szeptał pan kantor, kładąc palec na usta, wpatrzony w ogromny budynek, stojący obok placu targowego.—Muszę się bliżej przyjrzeć.

Poszedł, obejrzał dokładnie cały gmach, a wróciwszy, udezwał się do pomocnika:

— Napisane tam „*Patriae et musis.*"

— „*Patriae et musis*", to znaczy „Ojczyźnie i muzom"—przetłómaczył Czermak.

— A, a, to już wiem, rozumiem, to jest teatr niemiecki. Te ściany jedne z najpierwszych słyszały „Don Juana," tu też w niedzielę po południu przedstawiali czeskie sztuki. Ojczyźnie! doprawdy, odpowiedni napis. Dzięki Bogu, wybijamy się już z tej niewoli. Nie masz pojęcia, bracie, jak bardzo się cieszę, że jutro w nowym teatrze na ulicy Różowej usłyszymy patryotyczną sztukę „Karol Szkreta" [1]).

— Czy będzie aby i Albinka? — myślał pomocnik. — Jeśli tak, jak dawniej, siądzie obok mnie, toż to będzie raj na ziemi. Cały dzień razem będziemy chodzić po Pradze, pójdziemy na Olszany, na zamek, wszędzie razem i razem. Czy tylko się nie zmieniła dla mnie, czy nie shardziała, czy jej serduszka nie zajął kto inny?

Przy tych rozmyślaniach zadrżał z przerażenia i bólu.

W tej właśnie chwili wrócił wieśniak.

— Już idą? — pytał pryncypał, a pomocnikowi omało z orbit nie wyszły oczy.

— Jeszcze nie idą, ale zaraz przyjdą—odpowiedział obojętnie, wolno, potem zaśmiał się głośno i mówił: — Żebyście wiedzieli, rodacy, co ta profesorowa wyrabiała, zobaczywszy koszyk! Skakała z radości,

---

[1]) A. Swoboda napisał komedyę „Karol Szkreta", graną 1841 r. Bohater sztuki znany malarz czeski.

wykrzykiwała po czesku i po niemiecku, zwoływała sąsiadki, a nas śniadaniem ufetowała: dała mi kufelek kawy wielkości naparstka, na dwa palce wysokiego. Jeśli Albinka miewa takie śniadania, to wątpię, czy będzie mieć siły do powrotu do domu.

— Co robi proboszcz?—zapytał kantor.

— Co robi? Ano, rozmawia z Albinką. Przybiegła doń z drugiej izdebki, cała jeszcze w bieli. Ksiądz opowiedział, że przyjechał na dwa dni z kantorem i chce, ażeby z nimi Albinka ten czas spędziła. Nie potrzebuję chyba opisywać radości tej dziewczyny.

— I pójdzie z nami?

— A czemużby nie?

— Nie sprzeciwiano się temu?

— Bynajmniej. Oni są zadowoleni, bardzo zadowoleni, przecież kosz mają, no i jedzenie dwudniowe w kieszeni im zostanie. Pospieszać muszę do naszych trzech ryb...

Odszedłszy kilka kroków, znów wrócił i ze śmiechem powtarzał:

— Jakże ona wyskakiwała na widok kosza! Momentalnie znikło wieczko, a oczy jej wpiły się w prowianty. Ten maleńki profesor biegał po miski, talerze, biedak gubił swe wielkie pantofle po drodze. Jabym jednak nie powierzył im swej córki... na śniadanie naparstek kawy za tyle pieniędzy!

Tym razem furman odszedł na dobre.

Pryncypał śmiał się serdecznie, pomocnik był jak upojony winem.

— Prażanie!... prażanie!... wszystko od nas, z naszych wsi do was przychodzi, wy tem żyjecie wszyscy, a żaden z was nawet mówić nie chce po naszemu. Nawet i nasi nie!... Ten woźnica oto przyjeżdża tu co miesiąc i zna was wszystkich; niby nie patrzy na nic, a wszystko widzi i uśmiech z ust nie schodzi mu ani na chwilkę.

Mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi tłoczyli się koło kramów i wykrzykujących przekupek.

— Proszę tu, bardzo proszę, młody panie! Proszę, paniusiu, gruszki po dwa krajcary!... Niechaj panoczek skosztuje, jeżeli mi niewiara... Nie zastępujcie państwo drogi, gdy nie chcecie nic kupić! Więc to niedojrzałe śliwki? Niech pan nie grzeszy, aby pana Bóg niebieski nie skarał. Za dwa... po dwa... dziewięć za krajcar... pięć za dwa!... Na początek, proszę panienko, na szczęście od rana!...

— Chodź, dziewczyno, chodź!... rad jestem, że cię znów widzę i żeśmy się już ztamtąd wydostali.

To był głos proboszcza, którego ciężkie kroki i stukanie laski słychać było zdaleka; za nim stąpał ktoś cicho—to Albinka.

— Prowadzę wam ją, młodzieńcy, oto pan kantor, a to pan pomocnik! — powiedział z filuternym uśmiechem.

Albinka, zobaczywszy Czermaka, oniemiała.

Miała na głowie duży, słomkowy kapelusz z niebieską wstążką, perkalową jasną suknię (dłuższą od poprzedniej), niebieski kaftanik i sznurowane trzewiki.

— Dalipan, zapomniałem zupełnie o pomocniku—dodał proboszcz żartobliwie.

Albina zarumieniona, spuściła oczy i nieśmiało podała rękę Czermakowi.

On, ściskając te małe paluszki, pochwycił jej spojrzenie oczu, w którem przebijały błyski radości.

— Doprawdy, stoję już oddawna z wyciągniętą ręką, czekam, ale panienka udaje, że mnie nie poznaje. Otóż to w Pradze nabrała tej pychy!

— Witam pana nauczyciela, zawsze ten sam staruszek — odpowiedziała wesoło, ująwszy podaną sobie rękę.

Mierzył ją od stóp do głowy.

— Boże, czyż to ta sama Albinka, czy inna? Odleciała od nas jako kanarek, a teraz z niej taka piękna panna miastowa!

Albina rzeczywiście zmieniła się bardzo. W długiej sukni robiła wrażenie wyższej i tęższej. Wogóle jakoś zmężniała i dojrzała. Twarz jej pobladła, ale i nabrała poważniejszego wyrazu. Pomocnik od pierwszego wejrzenia zrozumiał, że to już nie to dziecko, które podczas zimy wyśpiewywało sobie:

Mamaby mnie wybiła...

— Ciocia, moja Tona i Wacław tysiączne pozdrowienia przesyłają—oświadczył kantor.

— I dziadzio Dolejsz — dorzucił proboszcz. — Przynajmniej dziesięć razy przypominał mi on, ażebym nie zapomniał pokłonić się pięknie tej małej sroczce i prosić ją o powrót do gór, gdzie tak bez niej smutno.

— A co porabia mój ojciec i mamusia?

— Nie wiem, moje dziecko, nie wiem — odparł ksiądz proboszcz.

Szli z powrotem na Przykopy: proboszcz z Albiną naprzód, nauczyciele za nimi.

— Jabym tak chciała, księże dobrodzieju, wrócić do domu, ale cóż mam robić? Już nieraz myślałam, że jeśli mnie ojciec prędko nie odbierze, sama ucieknę do domu. Dosyć się już namęczyłam, to nie dla mnie.

Proboszcz ruszył ramionami.

— Jestem tu jak w więzieniu: brzdąkam trochę na fortepianie, nieco wyszywam, paplę po niemiecku i to już wszystko!

— Cierpliwości, świętej cierpliwości, moje dziecię, trzeba czekać, dopóki się ojciec nie udobrucha. Pepiczka mi nadmieniła, że już się ojciec o nas dopytuje. Nie wyrzekaj, pobyt w Pradze nie zaszko-

dzi ci napewno: nauczysz się przecież czegoś, poznasz innych ludzi, inny świat. Powiedz — myśmy umyślnie odbyli taką długą podróż, ażeby tylko zobaczyć Pragę.

Proboszcz szedł zgarbiony, wedle zwyczaju wymachiwał laską, mówił wolno, poważnie.

— Przecież ja nawet całej Pragi nie widziałam, a nie podoba mi się, bo w niej człowiek, jak w niewoli. W teatrze jeszcze nie byłam, gdyż państwo profesorowie rzadko sami chodzą, zresztą musiałabym sama za wszystko płacić i to w dodatku za sztuki niemieckie, na przedstawienia bowiem czeskie chodzą podobno tylko przekupki i kucharki.

Proboszcz nerwowo uderzył laską o bruk.

— Co porabia panna aptekarzówna?

— Ona się tu dość podoba, a rada jest, gdy może się pięknie ubrać, a kiedy się ludzie za nią oglądają, czuje się zupełnie szczęśliwą.

Pomocnik szedł, jak po rozżarzonych węglach, słuchając uważnie opowiadań Albinki. Słowa jej sprawiały mu wielką przyjemność.

— Dobrze, dobrze, że cię tak trzymają w domu, przynajmniej nie poznasz się z miejskimi kawalerami— myślał z zadowoleniem.

Przez plac Wacława podążali ku bramie.

Przechodnie przypatrywali się ciekawie tej trójce wieśniaków: przygarbionemu kapłanowi w krótkim surducie, lśniącym kapeluszu, idącym obok młodej, rumianej dziewczyny, jak jabłuszko, dwu kantorom: starszemu, ustrojonemu w długi surdut, wysokie buty, owalny, nizki kapelusz, młodemu w granatowym surducie, wązkich spodniach i spiczastym kapeluszu filcowym.

— Ileż zmian, ile tu zmian! — rozglądając się wokoło, mówił proboszcz. — Dawnemi czasy stały tu kałuże, dziś domy, ba! zamki wielopiętrowe. Tylko ty nasz święty patronie skupiasz zawsze przy sobie ten

dziwny pranaród! — zawołał z goryczą, wskazując na posąg św. Wacława, stojący na placu.

— Skupia, skupia jeszcze — mruczał kantor. — Metternich i panowie ministrowie mniemają, że to wszędzie tylu jest Niemców, co w Pradze. Nikt się nie znajdzie, ktoby świętą prawdę powiedział. Kiedy burgrabia Chotek przejeżdżał nasze góry, łudziliśmy się nadzieją, że lepszy wiatr zawieje, ale naprożno czekamy, zalewani tą niemiecką falą.

— Żeby ksiądz proboszcz wiedział, ile ojca kosztuje mój pobyt w Pradze! — odezwała się znów Albinka.

— Wierzę, wierzę, w każdym razie chwalę to jednak, bo to pięknie i doskonale, że ci ojciec daje sposobność nauczenia się czegoś. Cierpliwości tylko, cierpliwości, a napewno nie będziesz później tego żałować.

— Żeby się to aby opłaciło!

— Czy ona mnie jeszcze kocha? — to pytanie snuło się po głowie pomocnika.—Jeśli nie kocha, bez żadnych przedstawień zabierze ją ojciec do domu, boć zniknie przecież przyczyna wszystkiego złego—biedny preceptor wiejski! Choćby panna Pepiczka nie wiem jak chciała, jeno serce Albiny rozstrzygnie.

Kiedy wtedy spojrzał na drogą dziewczynę, byłby krzyczał z bólu, co mu serce rozpierał. Zdawało mu się, że to niemożliwe, aby ta miejska panna chciała górskiego pomocnika.

Stary Podzimek wybornie wszystko obmyślił. Już się przecież Alba zmieniła, co później będzie! Przypomniawszy sobie znów jej listy serdeczne, cieszył się nadzieją, że może się też nie zmieniła, została mu wierną.

— Dokąd właściwie idziemy? — zapytała Albina.

— Na Olszany, Albinko, ten młodzieniec pragnie odwiedzić najpierw swą matkę.

Dziewczę objęło Czermaka serdecznem spojrzeniem.

Przeszedłszy bramę, znaleźli się na polu, mogli więc kroczyć w jednym rzędzie.

Firmament był czysto-niebieski, jasny, droga, trawniki, drzewa, pokryte były grubą warstwą kurzu.

— Musimy przyśpieszyć kroku, gdyż czeka nas dziś: muzeum, święty Wit, a Szafarzyka i Jungmanna musimy też zobaczyć, żeby to nie wiem co nas kosztowało—upominał proboszcz.

— A Tyla!—krzyknął kantor.

— Naturalnie; pójdziemy do sklepu Pospiszyla, to go tam zobaczymy. Patrzcie, dzieci, ziemniaki tu rosną, dobre są, dobre. Ongi rosły tu winogrona burgundzkie, dziś ziemniaki — wskazywał kapłan swą laską.

— Księże dobrodzieju, idąc tak, jak teraz, nie będziemy mieli wielkiej korzyści z siebie; my dwaj o czem innem myślimy, ci dwoje też inne mają myśli. Opowiadam, przemawiam do mego towarzysza, a on nie słyszy mnie nawet—chodźmy razem!

— A to ładnie, panie nauczycielu, widocznie wam przeszkadzamy—rzekła Alba z wyrzutem.

— Et, do licha, jesteśmy w Pradze, a idzie jak do świętej spowiedzi — żartował kantor, a ująwszy proboszcza pod rękę, pospieszył z nim naprzód.

Pomocnik z Albiną szli w znacznem oddaleniu od siebie i milczeli.

Na Czermaka przyszła ta nieszczęsna chwila, w której daremnie męczył myśl i pamięć od czegoby zacząć rozmowę. Patrząc w ziemię, widział, jak w niej nogi tonęły i już chciał powiedzieć:

— Ileż tu piasku i kurzu.

Zastanowił się jednak, że to zupełnie zbyteczne.

Kiedy zbliżyli się do ogrodu Kanalskiego, zoba-

czywszy kasztany z liśćmi opylonemi, rzekł z uśmiechem:

— Co to jest? Ogród?

— Nie wiem—odpowiedziała, wzruszywszy ramionami.

I znów szli w milczeniu.

— Tak się przestraszyłam, gdy pana spostrzegłam—podjęła Albinka.

— Przestraszyła? Czemuż?—pytał.

— Ksiądz proboszcz nie wspomniał o tem ani słówkiem.

— I dlatego pani się zlękła?

— No, nie zlękłam, lecz wprost oniemiałam.

— Czy to pani przykrość sprawiło?

— Tego nie mówię.

I na tem skończyli już rozmowę.

Niebieskawe fale powietrza unosiły się nad zoranem polem olszańskiem, po którem biegały gromadki dzieci, puszczając latawca papierowego, podnoszącego się w górę i trzepoczącego spiczastym ogonem.

— Co pan robi wciąż w górach? — przerwało dziewczę milczenie pomocnika.

— O tem wszystkiem pisałem do pani.

— Nie napisał pan jednak o swym przyjeździe.

— Nie.

— Dlaczego?

— Chciałem się dowiedzieć, jakie to na pani zrobi wrażenie.

— Jakież więc?

— Przeraziła się pani—odparł smutno.

— Z radości—odparła, zarumieniwszy się, spuściła głowę i szła dalej w milczeniu.

— Nie zapomniałaś zatem?

— Czy pan nie otrzymywałeś mych listów — ostro rzuciła pytanie.

Skinął twierdząco z uśmiechem.

— I jeszcze się pyta!...

— No, no, Albinko... nie gniewaj się... czy ty mnie kochasz?

— Widocznie pan nie czytywał tych listów dokładnie.

Pomocnikowi błysnęły oczy radośnie.

— Ja wciąż o tobie myślałem, niech zaświadczy ta książeczka. Przepisałem ci na pamiątkę najpiękniejsze modlitwy z modlitewnika mej matki.

Sięgnąwszy do bocznej kieszeni palta, wyjął z niej małą książeczkę w czarnej skórzanej oprawie, w papier owiniętą i podał Albinie.

Otworzyła klamrę i przeglądała kartki: na każdej była piękna winetka, a pod nią drobnem pismem wypisane modlitwy, tytuły zaś ich były różnokolorowe.

— Toż się pan napracował!—szepnęła.

Ujął jej rękę i ściskał nerwowo.

Ksiądz odwrócił się właśnie, a spostrzegłszy, że Albina trzyma książkę, zapytał:

— Co tam sylabizujesz?

Obydwaj z kantorem zaczekali na młodą parę.

— Niech ksiądz dobrodziej zobaczy, co ja dostałam!—szczebiotała, podając książeczkę.

Proboszcz wziął laskę pod pachę i przyglądał się uważnie modlitewnikowi, następnie podał go kantorowi.

— Piękna, piękna, Franciszku — kiwał głową i z lubością zażywał tabaczkę.

— Mozolna a śliczna praca i nawet się nią nie pochwalił—podziwiał nauczyciel.

— Wielebny pan zabierze mi ją do domu, dobrze?—prosiła Albinka.

— Wezmę, szkoda jej dla złośliwych oczu; skoro do nas powrócisz, będziesz się z niej w kościołku naszym modlić.

— Kiedyż to nastąpi!—westchnęła boleśnie.

Proboszcz z kantorem wybuchnęli śmiechem.

— Chodźmy dzieci, chodźmy — zachęcał kapłan.

Po chwili milczenia dłuższego rzuciła pytanie:

— Co się też dzieje z Żalakową?

Pomocnik się uśmiechnął, był zadowolony, że się o to pyta—widocznie zazdrosną jest jeszcze.

— Nie warto się pytać.

— Nie zachodzi już na cmentarz... pod czyjeś okno?...

— Więcej nie przyszła, przekonała się bowiem, żem człowiek z żelaza. Jeździła na zabawy tu i owdzie, lecz gdy my graliśmy, nie zwracała na nas uwagi.

— Ale pan zwracał!

— Bynajmniej, tylko Adam Hejn gniewał się wiecznie.

— Skoro powrócę, no, to się Adamowi dostanie.

— On tak mnie straszył napróżno, choć czasami i pocieszył. Żalakowa jeździła chętnie daleko i tam się zachowywała, jak mężczyzna: grała, piła wiele, dokazywała wprost.

— Czy nie wyjdzie za strzelca?

— Nie wiem; bywa u niej jakiś urzędnik z kancelaryi, drugi strzelec i ktoś aż z fabryki z Tannwaldu.

— Zkąd pan wie o wszystkiem?

— Otóż, moje dzieci, jesteśmy na Olszanach — zawołał proboszcz.

Pomocnik zamilkł i wpatrywał się uparcie w mur, ogradzający cmentarz.

Drzewa na nim były już nagie, liście, leżące na ziemi, pożółkły zupełnie. Trawa na mogiłach również pożółkła, zczerniała, gdzieniegdzie zaś wyglądała sucha, szara ziemia. Na pomnikach i grobach spoczywały wieńce i bukiety z barwinku, astrów, nieśmiertelników i georginii. Dwa czarne drozdy skakały po darni i przelatywały z rowu do rowu. Między zakurzonemi kwiatami i krzakami brzęczały pszczoły i żółte osy. Bez, tarnina, cyprysy i olchy zasłaniały krzyże

i oczy aniołków kamiennych, obsypując je złotawemi liśćmi.

Podróżni przechodzili od mogiły do mogiły.

— Niemieckie i niemieckie tylko napisy—przemówił pierwszy nauczyciel.

— Nie wszystkie, chłopcze, spojrzyj!

— Ah, jakaż ortografia! Oj, Czesi, piszecie tak marnie, jakbyście nie mieli Jungmanna i innych uczonych mężów!

— Piękne kolumny, pomniki, statuy, krzyże, kwiaty, krzewy, ptaki, słowem, jak w ogrodzie. Na tym ślicznym cmentarzu dobrze spać twej matce, Franciszku.

Na drugiej części Olszan rozeszli się między rzędy zarośniętych grobów, małemi ścieżynami rozdzielonych, i szukali numeru 126. Albina krzyknęła:

— Tu, tu!...

Pomocnik pospieszył i przyglądał się zdaleka wskazanej mogile. Zbliżywszy się, uklęknął na grobie, odarniowanym żółtą już teraz, zeschłą trawą i zapłakał boleśnie.

Kantor z proboszczem przyszli również i spojrzeli na mogiłę.

— Numer 126, ale uważaj, Franciszku, to musi być pomyłka, boć tu stoi krzyż z niemieckim napisem—objaśnił kapłan.

„Johann Wonitschka, Hausmeister" — wypisane było na małej, żelaznej tabliczce.

Pomocnik z rozpaczą spoglądał to na grób, to na napis, a łzy płynęły mu z oczu.

— A toż nam nie przyszło na myśl, że tu niema tyle miejsca dla nieboszczyków, ile w naszych górach. Widocznie przekopują starsze groby i znów w nie chowają. I z tym podobnyż był wypadek. Woniczka umarł przed pięciu laty—wskazywał proboszcz na datę napisu.

— Więc moja matka...—zaczął preceptor, lecz nie mógł dokończyć. Pochylił nizko głowę i załkał boleśnie.

— Wielebny panie, chodźmy razem do grabarza, dla duchownego więcej on zrobi, niż dla mnie, zapytamy o wszystko—prosił kantor.

— Dobrze, dobrze, przyjacielu.—I poszli zaraz.

Pomocnik modlił się szeptem i głęboko wzdychał. Albinka stała przy mogile i również się modliła. Zbliżyła się potem do Czermaka, pogładziła jego włosy i ze łzami w oczach zaczęła go pocieszać serdecznie:

— Uspokój się, proszę, nie płacz!

— Albinko, jam taki nieszczęśliwy! Tyle lat nie mogłem wybrać się do Pragi, przyszedłem wreszcie, znalazłem miejsce, o którem zawsze myślałem... a teraz!...

— Nie smuć się, choć to już nie twej matki grób, kości jej przecież tu spoczywają. A zresztą tyle już czasu upłynęło, że z matki twej proch jeno został...

Kiedy powrócił ksiądz z kantorem, stwierdził pierwotne przypuszczenie: mogiła dwa razy była przekopaną.

— Z biedakami nie robią sobie kłopotu.

— Widzicie, bracia, widzicie, co się to dzieje na świecie; widzicie, co się z człowieka zostaje. Glina, nic więcej, no i trochę wspomnień w sercach kochających osób! Pomódlmy się za tę biedaczkę, niech wie przynajmniej, że mimo jej nieszczęścia, jakiego za życia doznała, są ludzie, którzy o niej serdecznie pamiętają.

Proboszcz klęknął przy grobie i półgłosem odmawiał „Ojcze nasz," a obecni powtarzali za nim, jak na pogrzebie. Zmówiwszy pięć „Ojcze nasz" i „Zdrowaś," szeptał antyfonę czeską. Wstając, zaśpiewał „Requiescat in pace" i pobłogosławił mogiłę.

Pomocnik do głębi był przejęty, ale ta ciężka boleść, jakiej początkowo doświadczył, zmniejszyła się, w łzach rozpłynęła. W tej chwili wyobraził sobie matkę, uśmiechającą się do wszystkich, i przypomniał jednocześnie wieczór w Milowie. Przyszło mu na myśl, że ten inspektor leży pewnie tu gdzieś niedaleko.

Proboszcz z kantorem chodzili wolno między grobami.

— Mówię ci, bracie—rzekł ksiądz cicho—tak mi się jakoś zdaje, że ten Tarant tu pochowany.

— To możebne.

— Ot, dziwne losy życia! Tu się dopiero zeszli... jeno proch i popiół z nich został. A gdzież jest przebyte życie? Co się stało z miłością, z cierpieniem?...

Kantor przytakiwał ruchem głowy.

— Tego Czermaka każdy musi lubić — zaczął znów proboszcz. — Ot, weźmy naprzykład ten modlitewnik (wyjął go z kieszeni i zaczął nanowo przeglądać). Piękna to, wielka i czysta praca, a kto taką wagę do modlitw przykłada, nie może mieć złego serca. Kiedy mi Pepiczka opowiadała o nim i o Albince, gniewałem się zawsze, zwłaszcza po wystąpieniu jej ojca. Myślałem, że niepotrzebnie wplątaliśmy się w całą tę sprawę, dziś jednak inaczej się na to zapatruję. Kochają się rzeczywiście bardzo, przekonali mnie o tem dziś. Przykroby mi było teraz, gdyby się nie pobrali.

— Niech się ksiądz dobrodziej za nimi wstawi, a wszystko dobrze pójdzie. Ksiądz Chwala mógłby słówko przemówić do hrabiego. Czermak nie jest u nas długo, ale przecież już w domu praktykował, jest wykształcony, a przytem dobry muzykant, to przecież coś warte.

— Niech się tylko przed konkursem nie cofa, zobaczymy.

— Nie cofnie się. I naczelnikowi wpadł w oko-

— Musimy jeszcze udobruchać jej ojca. I to wszystko stało się dzięki złośliwemu językowi Żalakowej. W Czermaku najwięcej mnie ujęły: jego bezinteresowność i czystość serca.

— Podług mnie, to najwięcej znaczy — dodał kantor.

Preceptor klęczał wciąż przy grobie i od wspomnień o matce przeszedł do swej miłości. Coby ona powiedziała, gdyby teraz wstać mogła?

— Albinko, czy ty mnie zawsze kochać będziesz?—zapytał gorąco, zwracając na nią swe załzawione oczy.

Albinka uśmiechnęła się i zbliżywszy się, pocałowała go w usta...

Wierzchołki drzew zachwiały się, krzaki i opadłe liście zaszeleściały.

. . . . . .

Tegoż dnia, t. j. 27 Września po południu, nasi podróżni wraz z Albinką byli w kościele św. Wita na błogosławieństwie.

Przyszli tam właśnie z Muzeum Narodowego [1]) i chodzili od kaplicy do kaplicy, od ołtarza do ołtarza. Kiedy pan kantor zaczął narzekać na ogromne opuszczenie starej świątyni, pocieszał go kapłan:

— Cicho, chłopcze, cicho, nie narzekaj, będzie tu inaczej. Już to pewne, że ta droga pamiątka narodowa będzie należycie zachowaną.

Usiedli naprzeciw królewskiego mauzoleum, a złożywszy ręce pobożnie, wołali do wszystkich świętych patronów, królów i książąt w tych grobach pochowa-

---

[1]) Muzeum narodowe mieściło się wówczas na Hradczanach.

nych, ażeby się wstawili do Pana Zastępów za swym nieszczęśliwym narodem.

Pod stropy świątyni unosiły się kłęby dymu z kadzideł, rozlewając miłą woń dokoła.

Przy ołtarzu św. Jana brzmiał przytłumiony głos kapłana, któremu odpowiadała nieliczna gromadka pobożnych. W bocznych nawach, gdzie spoczywają książęta i królowie, było już zupełnie ciemno, pusto, cicho.

Za chwilę szereg wiernych postępował do kaplicy św. Wacława.

Podróżni podążyli za nimi. Na organach zagrano preludium.

Kantor pochylił głowę i słuchał zdumiony.

Po preludium zabrzmiały dźwięki znanej melodyi... Uchwycił proboszcza za rękę i przyciągnął go do siebie.

Organy umilkły, w kaplicy rozległy się tony starodawnej pieśni czeskiej, śpiewanej z głębokiem uczuciem:

„Święty Wacławie, wojewodo ziemi Czeskiej, książe nasz, wstaw się za nami do Boga, Ducha świętego— Kryste elejson.

„Tyś dziedzicem kraju czeskiego.

„Wspomnij na swe plemię, nie dozwól na jego zgubę.

„Święty Wacławie, Kryste elejson!..."

Proboszczowi i kantorowi płynęły łzy z oczu.

Przez okno kaplicy wpadło światło tęczowe...

XVII.

Pepiczka była okropnie zakłopotana, głowa jej pękała od trosk przeróżnych, które pomnażał wciąż proboszcz.

Hrabia Włodzimierz jednocześnie z jaskółkami przyjechał do Milowa z żoną i dwojgiem rozkosznych dzieci. Zaraz po św. Janie rozpoczął objazd po majątkach wraz z wikarym.

Pozdietyn miał go teraz przyjmować i dlatego to właśnie Pepiczka traciła głowę.

— Czemże ja poczęstuję tych ludzi?—biedowała. Rozmaitych gości już przyjmowałam, hrabiostwa jednak nigdy.

— Oj, kobieto tchórzliwa, niewierna; przecież hrabia takim samym jest człowiekiem, jak my wszyscy. Czyż nie wierzysz temu, co mówił ksiądz Chwala? Żadnych nadzwyczajnych przygotowań nie trzeba czynić—uspokajał proboszcz.

— Dobrze, dobrze, no, ale czemże ich ugoszczę?

— Poczęstujesz, czem będziesz mogła, jeno o ambrozyi proszę nie zapomnieć.

Pepiczka wybuchnęła głośnym śmiechem.

Zdziwiony proboszcz stanął przed nią, spojrzał surowo i zapytał:

— Czegoż się śmiejesz? Co w tem śmiesznego?

— Któżby się nie śmiał! Hrabiemu podać ambrozyę? Ha, ha! To tak, jakbym w czasie odpustu poczęstowała gości kartoflami w łupinach. Ja wiem, że dobrodziej żartował sobie, to mi jednak nie zmniejszy troski — cierpko odparła.

— Żartowałem, na żart mówiłem? Nie. Więc ambrozyę z ziemniakami zestawiasz? Moja Pepiczko, tyś chyba rozum postradała. Rób sobie, co chcesz, częstuj czem chcesz, wtrącać się do tego nie będę, mówię tylko, że wieprzowa pieczeń z grochem być musi!

— Ależ, wielebny panie, to niemożliwe, po całej okolicy rozeszłoby się, że proboszcz w Pozdietynie przyjmuje hrabiego wieprzowiną z grochem, wyśmianoby nas — wesoło już szczebiotała gospodyni.

— Ktoby wyśmiał taką potrawę? Wszystkie inne niech się przed nią schowają, żadna potrawa nie może się z nią równać. Wieprzowina będzie na naszym stole i basta! Przekonasz się, jak będzie smakowała.

— Nie, to niemożebne — śmiejąc się nawpół z płaczem, wołała zrozpaczona Pepiczka. — Wszak mi dobrodziej nie zrobi tego wstydu.

— Wieprzowina z groszkiem, to wstyd, to hańba? Niewiasto grzeszna, cóż ty wygadujesz, czyż jest na całym świecie lepszy przysmak? Naturalnie, zależy od przyprawy, od kucharki, a zdaje mi się, że w Pozdietynie mamy doskonałą.

Pepiczka była bardzo strapiona.

— Coby pomyślał pan hrabia, coby inni powiedzieli? Tacy panowie! Przypuszczaliby, że proboszcza gospodyni na niczem się nie zna.

Uskarżała się przed Dolejszem, ale ten kiwał tylko głową, przewracał oczami; żaliła się przed kantorem, lecz odpowiedział jej poruszeniem ramion i śmiechem, nauczycielka zaś pocieszała, że kaprys księdza minie napewno.

I Pepiczka na to liczyła i rozpoczynała kilkakrotnie rozmowę, proboszcz jednak krótką dał odpowiedź:

— Postanowiłem już raz, tak ma być i koniec!

Gospodyni myślała wreszcie, że postara się wszystko doskonale urządzić, to i pan bez ambrozyi będzie zadowolony.

Ale proboszcz rozwiał jej złudzenia powiedzeniem:

— A proszę nie zapomnieć czasem o ambrozyi, bez niej całe przyjęcie nic nie znaczy.

Nie mając innego sposobu, udała się o poradę do księdza Chwali do Wietrowa. Z płaczem wyspowiadała mu się ze swych kłopotów domowych.

Ksiądz, dowiedziawszy się o rozkazie proboszcza, uśmiał się serdecznie.

Pepiczka siedziała jak na iglach.

— Niech ksiądz dobrodziej sam osądzi, czy to możebne, i zastanowić się raczy nad następstwami, jakie to może sprowadzić. Doszło do tego, że nasz proboszcz powiedział gniewnie, iż ambrozya być musi, że chyba ma prawo rozkazywać na plebanii. I to wszystko przez tę marną potrawę! — biedowała gospodyni.

Ksiądz Chwala, wyśmiawszy się dowoli, zaczął wesoło:

— Niechaj się pani nie martwi, a proboszcza usłucha; ja sam się już cieszę wieprzowiną z groszkiem.

Pepiczka struchlała.

— Ale pan hrabia... — przerwała przerażona.

— Będzie bardzo zadowolony.

— Cała okolica wyśmieje się ze mnie, dopieroż to plebanię pozdietyńską wezmą na języki.

— Niech się pani nie obawia, proszę tylko słuchać księdza Stehlika.

— Wszyscy się przeciwko mnie uwzięli, więc

chyba się temu nie ostoję, ale jeśli coś złego wypadnie, nie będę winną!

Kłopoty gospodarskie Pepiczki dzieliła kantorowa i Albina.

Była ona w domu już od Bożego Narodzenia. Wszystkie rozpaczliwe listy, jakie wysyłała po Świętym Wacławie do domu, nie mogły udobruchać ojca. Pozwolił na powrót na święta dopiero.

W samą wigilię ujrzała znów śniegiem pokryte góry i wprost z sanek rzuciła się matce w objęcia...

O Pozdietynie nie mogła jeszcze nawet marzyć.

Pepiczka spełniała wiernie rozkaz proboszcza i nie chodziła prawie do Pozdzimków, dwa razy tylko podczas pobytu Albiny w Pradze wciągnęła ją do siebie stara Pozdzimkowa, zaręczywszy przedtem, że męża niema w domu. Narzekała ona wówczas na tęsknotę za Albinką i swą bezsilność. Ileż się naplakała nad listami córki! Przed świętami czatowała na kantorową i nauczycielkę i oznajmiła im radośnie powrót Albinki.

Obie kobiety wracały śpiesznie do Pozdietyna, ciesząc się wesołą nowiną.

Pomocnik po powrocie z wycieczki do Pragi był znacznie spokojniejszym, choć jeszcze przychodziły na niego chwile zwątpienia i niewiary w serce Albiny, lecz serdeczne, zawsze gorące listy Alby rozwiewały jego obawy; zwłaszcza, ten, w którym na jego wyrzuty i wymówki odpowiedziała:

„Na imię Boga Wszechmocnego, Stwórcę mego, przysięgam i świadczę się Nim, że nigdy i nikomu nie chcę oddać swej ręki, tylko tobie jednemu; gdybym nie dotrzymała tej danej ci przysięgi, niechaj mnie Bóg natychmiast surowo ukarze. Na świadków czego wzywam wszystkich Jego Świętych i wybranych!"

Załatwiwszy się z konkursem, Czermak w dalszym ciągu się uczył, przepisywał nuty i z kantorem,

Adamem i młodym Pażoutem grywał kwartety. Czytywał również z proboszczem artykuły z „Dziennika Muzeum Czeskiego", „Kwietów", „Wlastymira" [1]) i z „Historyi Czech" [2]) Palacky'ego.

Z Albinką widział się dopiero w końcu stycznia; pomimo tego, że miał nieprzepartą chęć pójścia w niedzielę do wietrowskiego kościoła, w nadziei zobaczenia tam Albinki, usłuchał Pepiczki, która mu odradzała ten plan, by nie przerazić starego Podzimka. Tymczasem starannie i wiernie zastępowała pocztę pozdietyńska maślarka.

Wtedy to, w końcu stycznia, Albinka odprowadziła ciotkę daleko, dalej niż zwykle, Czermak zaś czekał na nie...

Do końca lutego stary Podzimek był nieporuszony i twardy jak kamień; dopiero z nastaniem siewów, według zwyczaju wyruszył do Pozdietyna, zkąd zwykle przywoził ziarno.

Wyruszył z całą pewnością, że wszystko pójdzie należycie, tem więcej, że i w domu nikt nie poruszał wiadomej kwestyi.

Zaszedł potulnie do kuchni na plebanii, wymuszenie się uśmiechał, gładził, przygładzał swe włosy, rozpowiadał to o tem, to o owem, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

Pepiczka podała mu statek; sama zaś prędko pobiegła po proboszcza, lecz drzwi od jego pokoju zastała zamknięte.

— Dziwno mi—mówiła, wróciwszy do kuchni— przed chwilką był ksiądz proboszcz w domu.

Podzimek zmarszczył czoło i bąknął:

— Przedemną uciekł; patrzcie, patrzcie, jak ten pleban umie się złościć!

---

[1]) „Wlastymir, przyjaciel oświaty i zabawy", wychodził w Pradze 1840 do 1842 r.

[2]) „Geschichte von Böhmen" wychodzić zaczęła od 1836 roku.

— I ja się temu dziwię — chłodno odparła — ale gniew jego uzasadniony. Czekał, myśląc, że przyjdziesz do niego, a teraz widzi, że już wszystko przepadło. Ma w Hradiszczu krewnych dalekich i nosi się z zamiarem wzięcia ich dziewczynki do siebie.

— Ot, toby było dopiero!... toby pięknie... ładnie było!... — krzyknął, skoczywszy, jak oparzony.

Pepiczka ruszyła ramionami.

— To ci dopiero!... już zaraz ma być tak źle!

— Myśmy, Toniku, nic nie winni; sam musisz przyznać, że ksiądz proboszcz uważał was za swoich i chociaż jesteś uparciuch, jednak sam aż nadto dobrze czujesz, ile w nim straciliście... I za to wszystko przez trzy kwartały sam nie wiesz, jak wysoko masz nos zadzierać!...

— Warto to tak bronić kogoś cudzego, ze szkodą dla nas samych; nawet i do Pragi jeździli razem!...

— Gdy przekonałam się, że jest uczciwy i szlachetny człowiek i że z Albiną się kochają, więc rada temu byłam!... Kogoż jeszcze dla niej chcesz?!...

— Ba!... gdyby przynajmniej był nauczycielem i miał szkółkę, to może... może... nie miałbym nic przeciw temu, lecz nędzarzowi nie dam jej... jeszcze po tym skandalu!...

— Przecież cię nie przymuszam!... — odparła chłodno.

— Póki życia nie zapomnę tej chwili, gdy ta młynarczycha rzuciła mi to w oczy!... — bąknął ze złością i szybko zaczął chodzić po izbie.

— Tobie nie ubliżyła ona tyle, ile temu biednemu człowiekowi. Biedaczysko trapił się bardzo długo i chodził, jak błędny. A dlaczego ona to wszystko zrobiła? Ponieważ nie chciał jej i nie łakomił się na bogactwo. Kobiety to istne książki: ludzie patrzą tylko na oprawę; ale nasz pomocnik do takich nie należy! Zawsze się bał, żeby mu nikt nie wytknął jego pochodzenia; zawsze był skromny, uważający, po-

mimo to, nie uniknął tego zajścia. Ona go znała jeszcze z Iczyna, a ot i przydało się to jej przy spotkaniu z tobą. Zresztą i tu chybiła. Wciąż napastowała młodzieńca; wszystko, co mogła, czyniła; na takie ekscesy się zdobywała, że wprost wierzyć się nie chce, a pomimo to bezskutecznie. Teraz zaś, gdy po młynie mało już zostanie, wszystko chce sprzedać i pojedzie do Pragi czepiać się innych!...

— Po co ty mi tak o niej opowiadasz?...

— Abyś sobie przypomniał starych Żalaków, jak to oni dorabiali się pieniędzy i co się obecnie z nimi stało. Obcy użyli na tem, co oni mozolnie zapracowali i oszczędzali. Gdyby oni tak o tem na czas pomyśleli...

— Taki człowiek, jak ten wasz pomocnik, rzadkim jest okazem! A kto się w chacie narodził, temu nie przeznaczono umierać w pałacu.

— Naturalnie, naturalnie, on z innych, gorszych kości i ciała złożony, niż wszyscy ludzie!... Gdyby jego matka była więcej hardą, z mniejszem sercem, biłbyś może przed nią pokłony, ale ona wolała cierpieć, znosić upokorzenia, niż postąpić wbrew swemu sercu.

— Czegoż się tak za nim ujmujesz?

— Bo kocham Albinę, bom sama wiele doświadczyła... Lecz ślepemu i okulary nie pomogą...

Podzimek usiadł znów, spojrzał zukosa na siostrę i nerwowo targał wąsy.

— Słuchaj, Pepo, ja wam przyślę moją córkę...

Pepiczka wzruszyła ramionami.

— Była u was tak długo, to przecie nie weźmiecie innej...

— Ach, jak myśmy ją kochali! Po jej odjeździe rady sobie dać nie mogłam.

— I cóż się stało, wszak to nie była wieczność, dziewczynie to wyjdzie na dobre, zobaczysz. Czyż więc mam ją przywieźć?

— O tem ja, bracie, nie rozstrzygam, to już rzecz proboszcza, on zaś chce mieć spokój. Nie powinieneś był występować tak brutalnie, mogłeś się zastanowić nad tem, że bogactwo nie jest wszystkiem na świecie.

Tym razem Podzimek bardzo rozstrojony wracał do Wietrowa. Wiadomość, że proboszcz chce wziąć na plebanię inną krewną, zirytowała go ogromnie. Pogniewawszy się z księdzem, myślał sobie, że jeśli Albinka nic nie dostała, to i tak później coś otrzyma, gdyż jest prawdziwie kochaną, a teraz upadały jego nadzieje. Wściekało to hardego i chciwego na grosz wieśniaka. Szło tu przecież nie o byle co. Proboszcz jest w sile wieku, a zatem przez długie jeszcze lata mogła przepływać mamona z Pozdietyna do chaty Podzimka.

Przyszedłszy do domu, w milczeniu zabrał się do roboty w stodole, wieczorem dopiero usiadł na ławce koło komina i rzekł uroczyście:

— Rano pójdziesz do Pozdietyna, już się rozmówiłem z ciotką, tylko pamiętaj mi... — nie dokończył, jeno obrzucił ją groźnem spojrzeniem.

Albinka spełniła rozkaz ojca z wielką radością, drugiego dnia jednak była z powrotem, powiedziała, że proboszcz nie chciał z nią prawie mówić i wogóle był jakiś pochmurny.

— A cóż Pepiczka mówiła? — zapytał, a oczy mu błysnęły.

— Odpowiedziała, że ksiądz proboszcz nie chce żadnej łaski, i że chce wziąć do pomocy Pepiczce jakaś dziewczynkę z Hradiszcza.

Na drugi dzień o świcie Podzimek pomaszerował spiesznie do Pozdietyna, by złapać plebana. Zaczekał na niego w kuchni i skoro tylko proboszcz przestąpił próg domu, wracając z rannej mszy, Podzimek pośpiesznie wstał i wyciągnął swą grubą rękę na przywitanie.

Proboszcz zatrzymał się, zmierzył gościa od stóp do głowy, zmarszczył czoło, sięgnął do kieszeni po tabakierkę i zażywając tabakę, patrzył Podzimkowi w oczy.

— No, witam cię! dawno już nie byłeś u nas!— rzekł, podając mu rękę.

— Nie gniewajmy się!... — zaczął proszącym tonem Podzimek i schylony, przygładzał swe włosy, patrząc z podełba.

— Porzuć swój gniew i zaniechaj złości!—mówi psalmista.

— Po tę dziewczynkę już posyłać niema potrzeby! — prędko dorzucił Podzimek.

Proboszcz spojrzał na niego i pomyślawszy chwilkę, spojrzał pytająco na Pepiczkę; ale nagle się roześmiał i powiedział:

— Ty tylko o mamonie myślisz! Córka niechaj się nawet zamartwi, a ty wolałbyś ją zamorzyć, niż przyjść tutaj. Zresztą teraz tylko interes cię przyprowadził... Gdy zaś bezpodstawnie zirytowałeś się, to na wysłanie jej do Pragi nie żałowałeś pieniędzy!

— Et, o tem to dawno już myślałem. Wszak każdy, kto może, wysyła dzieci do stolicy! Ale Albinka teraz może przyjść?...

— Ha... wreszcie przyprowadź ją, mogła ona być tutaj bez przerwy. Często za nią tęskniłem.

Wszyscy umilkli, po chwili Podzimek znów zaczął:

— Z tym pomocnikiem, proszę was, dajcie spokój!

— Dobrze, dobrze... to już ułóżcie się obydwoje z Albiną, a mnie nie wspominajcie o tej sprawie!...

Albina wróciła na plebanię.

I znów widywali się z Czermakiem z początku tylko w kościele, czasami na plebanii, skoro zaś pogróżki ojca wywietrzały jej z głowy, znów się za-

częły schadzki wieczorami przed ogródkiem i długie, ciche rozmowy.

Czermak miał masę zajęcia, ponieważ zbliżały się w szkole egzaminy, a dzieci było bardzo dużo.

Kantor z pomocnikiem wciąż powtarzali wszystko z dziećmi, urządzali na różne sposoby próbne egzaminy. Pomocnik przez parę dni liniował kajety do przepisywań, pilnował dzieci przy pisaniu i skoro były gotowe, kantor zabrał do oprawy.

— Na odpust pieką placki, a na wizytacyę — przepisywania — śmiał się. — No, jak się powiodły? No? nagany pewnie nie będzie? — dorzucił, przeglądając kajety.

Przed obiadem i po południu aż się szkoła trzęsła od głośnego śpiewu dzieci „Przywitanie jaśnie wielmożnego pana hrabiego," układu pomocnika Czermaka i muzyki soboteckiego organisty, Dolenskiego.

Na dwa dni przed egzaminem porządkowano wszystko w szkole: ściany się bieliły, żona kantora razem z dziećmi plotła wieńce, któremi pan kantor przyozdabiał ściany i obrazy; pomocnik kaligraficznie wpisywał nazwiska uczniów do Złotej i Czarnej księgi i podpisywał nagrody, któremi co rok proboszcz obdarowywał wzorowych uczniów. Kalikant Marynek czyścił na chórze bębny i instrumenty dęte tak starannie, że zdaleka błyszczały, jak złote.

Najwięcej pracy miała panna Pepiczka.

W dzień wizytacyi powiewały czerwono-białe chorągwie na szkole, plebanii i na kościele; na drodze przed domem Roubala wznosiła się brama tryumfalna; dzieci z nauczycielami utworzyły szpaler, dorośli za nimi; przełożony administracyi dóbr razem z innymi urzędnikami stanął przy bramie tryumfalnej, tuż przy nich muzyka. Roubal podszedł do Czermaka i zaczął w te słowa:

— Mówię, panie preceptor, na Boże Ciało nic a teraz aż zanadto! Niechaj witają hrabiego wspania-

le, ale uczczenie Boga powinno być jeszcze wspanialsze, okazalsze. Wszak rozumie mnie pan: na Boże Ciało to starosta, czy tam przełożony wszystko schowa do kieszeni (a ma je bardzo głębokie) i musimy się tylko przysłuchiwać, jak w okolicy strzelają z moździerzy; a dziś, ponieważ to na cześć hrabiego, będzie kanonada, jak pod Lipskiem.

Ksiądz proboszcz wyszedł z kościoła ubrany w komżę, obszytą szerokiemi koronkami i z czerwoną kokardą na piersiach; ministranci również odpowiednio przyodziani, nieśli przed nim chorągwie, nawet i stary Dolejsz kościelny wlókł się za nimi zgarbiony.

Włościanie zdejmowali czapki i z lubością patrząc na proboszcza, szeptali między sobą, jak dziś odmłodniał i jak mu z tą kokardą do twarzy.

Dzień był jasny, pogodny, wtem pod lasem rozległy się strzały; dzieci, uczesane gładko i odziane świątecznie, drgnęły i jak iskra przeleciało w tłumie:

— Już jadą, już jadą!...

Stary Roubal, przeciskając się, wciąż mruczał:

— Dziś to dopiero strzelają!

Echo dzwonów kościelnych odbijało się daleko o ściany lasów.

Adam podkręcił do góry wąsy, przyłożył trąbę do ust... i zagrzmiały głośne fanfary.

Ekwipaże zjechały w dolinę, w której zaczęło się rozlegać przeciągłe:

— Wiwat! wiwat! wiwat!...

Fanfary grzmiały bezustannie, oczy zaś wszystkich były zwrócone w stronę bramy tryumfalnej, gdzie się zatrzymały hrabiowskie karoce.

Z pierwszej karety wyszedł sam hrabia z księdzem z Wietrowa, z drugiej—kanonik z naczelnikiem. Lokaje, ubrani w krótkie spodnie i kamasze, w cynamonowych frakach, w cylindrach, z gwiazdami na boku, pomagali panom wysiadać. Z trzeciej ogromnej

karocy wyskoczył Hadek i podtrzymywał staruszka, milowskiego proboszcza.

Hrabia Włodzimierz był to trzydziestoletni wysoki, postawny mężczyzna, z krótko przystrzyżoną kasztanowatą brodą; szedł na czele wszystkich, za nim postępowali księża w piuskach, później naczelnik, pan Hadek, wreszcie na końcu sfora lokajów.

Naraz rozległ się donośny głos pozdietyńskiego proboszcza.

„Prawica Pańska spoczęła na mnie, wywiódł mnie Pan przez Ducha Świętego i postawił na polu, kości pełnem.

Prowadził mnie po onem polu dokoła; było tam moc kości, wszystkie bardzo suche.

I rzekł mi Pan: Synu człowieczy, te kości to lud izraelski, który mówi: zeschły nam kości, więc już zginęliśmy.

Idź tedy prorokować i powiedz im: Tak mówi Pan: Otworzę groby wasze, wyprowadzę was z onych grobów i zaprowadzę cię, ludu mój, do ziemi izraelskiej."

— Jaśnie wielmożny hrabio! Witam cię słowy świętego proroka Ezechiela, witam cię ja, górski proboszcz, w imieniu swoich owieczek. Alboż ten naród, do którego my wszyscy należymy, nie był do niedawna kośćmi suchemi?. Czy nie wołaliśmy: Panie, wspomnij na nas, wejrzyj na nas i zobacz pohańbienie nasze? Ojczyzna nasza, domowe ogniska w obcych rękach. Sierotami jesteśmy bez ojców, matki nasze są jako wdowy. Wejrzał Pan, ulitował się, ożyły ich kości, otwierają się groby, a duch wstępuje w ich ciała.

— Miłościwy panie hrabio, objęcie rządów przez ciebie—jest dla nas wielką pociechą i radością. Jam zawsze wierzył i ufał, że nadejdzie doba, w której potomkowie zwrócą się ku prochom swych przodków, spoczywających w kryptach naszego kościoła.

Boże na wysokości! pobłogosław temu młodemu dziedzicowi sławnego rodu, drogę jego życia uściel kwiatami, widzisz bowiem łzy nasze, znasz serca i życzenia nasze.

Niech Imię Twoje czczone i sławione będzie na wieki wieków!"

Proboszcz zakończył swą mowę uroczyście i głośno. Hrabiemu załzawiły się oczy, ksiądz Chwala ocierał je nadobre.

Po ostatniem słowie proboszcza nastała głęboka cisza. Kantor dał znak i chór dzieci odśpiewał „Powitanie."

Hrabia podał rękę księdzu Stehlikowi, którą on serdecznie uścisnął.

Przystąpił starosta i powitał hrabiego, jąkając się przeokropnie. Dziewczątko w białym stroju podało bukiet hrabiemu i wikaremu.

Kiedy dzieci skończyły swą pieśń, rozległo się znów głośne „Wiwat," zagrała muzyka i wszyscy obecni udali się do kościoła, gdzie ksiądz wikary w asystencyi duchowieństwa odprawił mszę świętą. Podczas *Offertorium*, pomocnik zaśpiewał tak pięknie jedno solo, że się pan hrabia mimowoli obejrzał.

Po nabożeństwie odbył się egzamin w szkole. Panowie zasiedli przed ławkami; ksiądz zadawał pytania z religii, potem preceptor egzaminował z czytania, dalej pisały dzieci, robiły zadania na wszystkie cztery działania, ułamki proporcye.

Czermak bardzo się obawiał początkowo, widząc jednak, że dobrze odpowiadają uczniowie, nabrał otuchy.

Goście oglądali zeszyty kaligraficzne.

Wreszcie pan hrabia wstał i zapytał pomocnika, czy też dzieci umieją trochę z geografii, historyi i nauk przyrodniczych.

Nauczycielom zajaśniały oczy z radości i pomocnik wnet rozpoczął egzamin.

Hrabia słuchał z przejęciem, proboszcz zażywał tabakę, a obracając się od jednego do drugiego gościa, szeptał:

— To zuch, nieprawdaż? On jest stworzony na kantora.

Albo też mówił do dzieci egzaminowanych:

— Dobrze, dobrze, moje dziatki! Pięknie, doskonale umiecie.

To znów zwracał się do obecnych:

— Myśmy tego i w poetyce nawet nie przechodzili. Aż strach, co teraz już dzieci umieją, gdzież to porównać z naszemi czasy!...

Dzieci i nauczyciele od hrabiego otrzymali mnóstwo pochwał, do których i wikary przyłączył wiele słów pochlebnych.

Pryncypał odczytał ze Złotej księgi nagrodzonych, muzyka w sieni zagrała, hrabia rozdawał dzieciom książki, listy pochwalne, złotemi literami wypisane i obrazki. Rodzice za drzwiami płakali ze wzruszenia.

Proboszcz uścisnął rękę pomocnikowi, uderzając go po ramieniu, zawołał:

— Dobrze, Franciszku, wybornie wszystko poprowadziłeś, mój chłopcze!

Roubal odmówił modlitwę, poczem odeszli goście przy dźwiękach trąb i wystrzałów.

Obejrzeli cmentarz i kościół, którego porządnem utrzymaniem wszyscy byli zachwyceni, obejrzeli nowo budującą się szkołę, wreszcie udali się na plebanię.

Muzyka grała na podwórzu, w pokoju było bardzo wesoło.

Hrabia, przeglądając bibliotekę, wziął do ręki „Muzejnik" i pokazał księdzu Chwale uwagi, ołówkiem pisane obok artykułu Szafarzyka.

Ksiądz przeczytał z uśmiechem notatkę proboszcza:

— „Sława, sława! zawoła Czech za lat pięćdziesiąt—sława, żem słowianin!"

Hrabia był w wesołym nastroju, Pepiczka w kuchni pocieszała się nadzieją, że wszystko dobrze pójdzie.

— Wielebny panie, mówił mi ksiądz Chwala, żeś rozmawiał w Pradze z Szafarzykiem?—pytał hrabia proboszcza.

— Rozmawiałem, rozmawiałem, panie hrabio, krótko wprawdzie, ale i to starczyło. Wracaliśmy z muzeum, a on szedł tam właśnie. Pytamy o niego szwajcara, ten go nam wskazał. Pośpieszyliśmy za nim, obstąpili dokoła tak, że Szafarzyk ruszyć się nie mógł, nie wiedział, co to się dzieje. Pan kantor, ukłoniwszy się, przemówił: „Sławny Czechu, jesteśmy biedni mieszkańcy gór, którym „Starożytności" pana oczy dopiero otworzyły. Niech Bóg cię za nie błogosławi i szczęściem obdarza! Przyszliśmy cię, panie, zobaczyć i stokrotne dzięki złożyć. Choć cóż znaczy nasze podziękowania dla ciebie, przed którym korzy się cała Słowiańszczyzna!"

— Cóż na to Szafarzyk?

— Wielki to człowiek i Czech, wielki Słowianin, lecz bardzo skromny. Wciąż jeno powtarzał: „Dziękuję wam, serdecznie dziękuję," i podawał nam rękę ze łzami w oczach. Kantor chciał go w rękę ucałować, nie pozwolił.

— Szafarzyk zasłużył rzeczywiście na waszą miłość, sprawiliście mu też prawdziwą przyjemność — przerwał życzliwie hrabia.

— Jungmanna widzieliśmy również w Pradze. Około gimnazyum spotkał nas młody Karol Kambl, sekretarz Amerlinga i powiedział, że nam pokaże Jungmanna. Jakoż wkrótce ukazał się staruszek, przy-

pominający ewangelicznego Simeona. Zdjęliśmy kapelusze i patrzyli na niego, jak na świętego. On to spostrzegł, bo w Pradze chodzą ludziska koło takich wybitnych jednostek i nie przyjdzie im nawet na myśl, że należy uchylić przez nimi czoło, zauważywszy nas, kłaniał się uprzejmie. Kantor o mało nie skakał z radości i powtarzał ciągle, jak się będą znajomi dziwić, skoro powie, że widział Szafarzyka i Jungmanna.

Proboszcz opowiadał z przejęciem, ze łzami w oczach.

— Mało jest takich ludzi, jak wy, księże dobrodzieju, należy się wam uznanie.

— Jest ich dosyć, panie hrabio, zwłaszcza na wsi, tylko, że nie mają odwagi wypowiedzieć tego, co czują. Na prowincyi nie jest tak źle, jak w Pradze, gdzie tylu cudzoziemców, a gdzie patryoci żyją, jak ongi prorocy izraelscy: biedni, opuszczeni, ale stali w przekonaniach. Widzieliśmy ich kilku: Rubesza [1]), Tupego [2]), Tyla. Gdyby szlachta rodowa garnęła się do języka ojczystego, wszystko byłoby inaczej. Ci bogacze szliby za nią niby owce.

Pepiczka w kuchni stała, jak na rozżarzonych węglach; mając podawać wieprzowinę, znów się zaczęła trapić i ledwo ją pocieszyć zdołała pani kantorowa.

Preceptor obnosił pieczeń, groszek Albina; uśmiechali się do siebie ukradkiem.

— A... wieprzowina z grochem — zauważył hrabia.

Proboszczowi oczy się rozjaśniły.

Pepiczka stała przy drzwiach, słuchając z przerażeniem, co się też stanie.

---

[1]) Czeski humorysta (1814 † 1853).

[2]) Znany poeta K. Tupý, piszący pod pseudonimem Jabłońskiego. Urodzony r. 1813, zm. jako ks. Paulin w Krakowie na Skałce 1881 r.

Pan hrabia, zjadłszy dwa kawałki, zawołał:

— Wyborna, wyśmienita!

Proboszcz uśmiechał się błogo.

Hrabia znów przemówił:

— Ksiądz dobrodziej musi mieć doskonałą kucharkę, ta potrawa tak dobrze przyrządzona.

— To „ambrozya"—półgłosem powiedział.

— Rzeczywiście „ambrozya" — odparł hrabia— proszę jeszcze o kawałek mięsa.

Proboszcz nie mógł już spokojnie usiedzieć, wstał i wykrzyknął:

— Wiedziałem, że „ambrozya" zwycięży — wybiegł na korytarz, powtarzając:—Pepiczko, wieprzowina z groszkiem wygrała, pan hrabia przybierał z własnej woli, czy słyszysz?

Goście śmieli się serdecznie, zwłaszcza ksiądz Chwala.

Pepiczka ucieszona biegała po kuchni ze słowami:

— Wiem, wiem, że to zrobił ksiądz Chwala.

Gdzież jest ten śpiewak kościelny?—zapytał hrabia po obiedzie.

— Oto jest, panie hrabio, nasz pomocnik Karol Czermak — wskazywał proboszcz. — Śpiewakiem jest i potrosze kompozytorem, on to ułożył dzisiejsze „Powitanie."

— Opowiadał mi ksiądz Chwala, że podczas „besedy" pięknie śpiewał, takiego właśnie śpiewaka potrzebujemy do Milowa, nasz kantor trzęsie się ze starości, powinien już odpocząć.

— Do kwartetu dobry nabytek, miłościwy hrabio—zaszczebiotał naczelnik, przymrużając oczy.

— I pan wikary zadowolony był ze szkoły? — zapytał go hrabia.

— Staranny młodzieniec—odparł zapytany z wyrazem prawdziwego zadowolenia.

Proboszcz wniósł zdrowie hrabiego, ten zaś wikarego, wyrażając przytem nadzieję, że wszyscy urzędnicy świeccy i duchowni pracować będą tak samo, jak za życia hrabiny, dla dobra ludu górskiego. Wikary wypił zdrowie księdza Stehlika, następnie zwrócił się do pomocnika:

— Czyś pan słyszał, co jaśnie hrabia mówił o Milowie? Kantor Zajczek już stary, potrzebuje więc pomocy. Pan hrabia życzy sobie takiego następcy, któryby spełniał dobrze obowiązki w szkole, zajmował się muzyką kościelną, a w wakacye syna hrabiego uczył muzyki...

— A kwartet...—szepnął naczelnik.

... śpiewał i przyjmował udział w kwartecie w zamku urządzanym. Tego wszystkiego nie spełni pomocnik, trzeba kantora, ponieważ pan Zajczek nie może się zajmować muzyką. Uradziliśmy z panem hrabią, wskutek wstawiennictwa tutejszego i milowskiego proboszcza, księdza Chwali i pana kantora, wybrać pana na tę posadę. Musi się jednak pan umówić z kantorem milowskim, któremu wedle kontraktu, należy się do końca życia połowa „sobotalesu," a o dostarczanie jego postara się miłościwy nasz hrabia.

Spojrzenia wszystkich obecnych spoczęły na pomocniku.

Ten stał, jak oczarowany. W głowie mu się mąciło, w oczach pociemniało.

— Czyś pan niezadowolony? — zapytał z uśmiechem hrabia.

— Najpokorniej dziękuję hrabiowskiej mości — przez łzy wyjąkał pomocnik.

— Szkoła jest mała, ale starczy na utrzymanie. Żeby zaś pan nie tęsknił za Pozdzietynem, niechaj sprowadzi się do Milowa nie sam, a z młodą żoną. Może się znajdzie jaka panna, któraby się na to zgodziła. A kto wie, może to śliczne dziewczątko po-

szłoby za panem — mówił figlarnie hrabia, wskazując na Albinkę, zbierającą pospiesznie talerze.

Albina stanęła bez ruchu.

— Czyżby nie wyszła za pana preceptora?

Spuściła głowę, twarz jej oblała się szkarłatem.

— Proszę się zapytać ojca — dokończył hrabia.

Wybiegła do kuchni oszołomiona szczęściem.

— Ciociu... ciociu!... pani... Dolejszu... żebyście wiedzieli!...—krzyczała, śmiejąc się i płacząc i Pepiczkę pochwyciła w ramiona.

— Dziewczyno, ty rozum postradałaś — surowo odpowiedziała Pepiczka.

Przybiegł i Czermak.

Albina puściła ciotkę i cała zarumieniona wpatrywała się w ukochanego.

On rozwarł ramiona i objął niemi dziewczynę.

Dolejsz załamywał ręce, nie mogąc zrozumieć, czego ci błaźni tańcują po kuchni.

— Już postanowione, cioteczko, pojedziemy do Milowa, będziemy blizko was!—wołała uradowana Albinka.

— Doprawdy, ta dziewczyna oszalała—narzekała Pepiczka.

— Nie oszalałam, nie ciociu.

I obydwoje zaczęli opowiadać całe zdarzenie.

— Czyż nie powiedziałem, że ta artystyczna dusza nie będzie długo z nami! Na tem samem miejscu, w tej kuchni to powiedziałem. No teraz i ojciec zmięknie—prawił Dolejsz, jak na ambonie.

— Dobry z ciebie prorok, dziaduniu — szczebiotała Albina.

— Czyż nie prorok. Pomocnik to nie nasz góral. W Milowie też długo nie posiedzi. Niech Bóg da szczęście!

Znów odezwały się dzwony, zagrzmiały moździerze, a tłumy wołały: wiwat! wiwat! Pan hrabia z resztą gości wyjeżdżał z Pozdzietyna.

Nie skończyła się na tem uroczystość. Kantorowie przyśli jeszcze na plebanię i zasiedli z domowymi do stołu: jedli, pili, bawili się doskonale. Pepiczka łzy często ocierała, pani nauczycielowa uśmiechała się, kantor grał, proboszcz zażywał tabakę z lubością, pomocnik chodził od jednego do drugiego i dziękował każdemu, kościelny zaś, patrząc na Albinę, szeptał:

— Co to będzie, gdy nas ta sroczka opuści, co to będzie!

T/III 60

342092
15 XII 88

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
120153

Biblioteka WSP Kielce
0158614